POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

19 lat

Nr 63 (2574)
Cena **7,00 zł**
(w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081
Nr indeksu 349-682

Piątek–niedziela, 7–9.08.2026

www.i.pl

MAGAZYN



GENETYCZNY ZAMEK, KTÓRY ZAMYKA ŚLEDZTWO

– Str. 12

Papież Leon XIV kontra Donald Trump. Co dzieli obu Amerykanów?

– Str. 11

Marcin Najman. Czy przeciętny bokser może być głosem rozsądku?

– Str. 22-23

Krzyżówka / Sport / Z życia Warszawy

BT

TELEMAGAZYN

- Najlepsze filmy i seriale nadchodzącego tygodnia
- Z życia gwiazd: plotki o aktorach

9 771898 308059 32

REKLAMA 0011548513



eprasa.pl 91b9e96d45

Na okładce

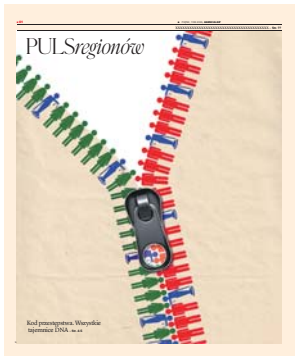

BT

Kod przestępstwa. Jakie tak naprawdę znaczeni odgrywa DNA przy rozwiązywaniu przestępstw? Kod genetyczny często okazuje się jedynym sposobem na to, żeby znaleźć autora zbrodni

s.5

Sierpień przyniósł ze sobą rekordowe upały. Senat nie chce referendum o polityce klimatycznej UE

s.6-7

Równo rok temu Karol Nawrocki został prezydentem. Przez te 12 miesięcy cały czas utrzymuje wysokie poparcie społeczne

s.16-17

Jak funkcjonuje się w dużej polityce, gdy wcześniej ważne role odgrywał w niej własny ojciec? Opowiada Maciej Tomczyskiewicz, poseł Koalicji Obywatelskiej. Jego ojciec był 15 lat temu szefem klubu parlamentarnego PO

s.27

„Sąsiedzi" – czechosłowacka bajka z czasów socjalizmu, która do dziś ma swoich fanów. Skąd jej fenomen?

s.28

Czego szukać w księgarniach? Przegląd najważniejszych nowości czytelniczych tego tygodnia.

WARSZAWA STR. 30 **SPORT** STR. 31
RELAKS STR. 32

Karol Nawrocki
Minął właśnie rok od objęcia przez niego urzędu prezydenta. Dziś to jedna z najbardziej spektakularnych karier politycznych w Polsce





Pat i Mat
Dwóch bohaterów czechosłowackiej bajki animowanej „Sąsiedzi". Dwóch nieporadnych facetów, którzy do dziś bawią i śmieszą

FOT. ADAM JANKOWSKI

POLECAMY

PONIEDZIAŁEK: Dramatyczne sceny w DPS-ach

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

7.08.2026. Dzień dobry

Rok prezydentury Karola Nawrockiego pokazał, że polaryzacja ciągle się pogłębia

Rządzący najchętniej mierzyliby pierwszy rok Karola Nawrockiego w Pałacu Prezydenckim liczbą wet. Dla nich to wygodne – w końcu prezydent wywodzi się z przeciwnego obozu politycznego, więc zrzucanie na niego winy za brak własnej skuteczności jest niczym bezpiecznik w ścianie mieszkania z przestarzałą instalacją elektryczną. Skutecznie minimalizuje ewentualne polityczne straty, za które koalicja rządząca by musiała zapłacić w kolejnych wyborach. Pewnie Polaków rozczarowanych obecnymi rządami byłoby dużo więcej, gdyby liderzy koalicji nie mogli się tłumaczyć wrogim prezydentem.

Może gdyby Nawrocki był prezydentem bardziej konsyliacyjnym, próbującym się ustawić ponad polityką rozumianą jako spór partyjny, to wtedy by tej roli bezpiecznika dla rządzących odgrywać nie mógł. Ale jest dokładnie odwrotnie. On – jak żaden prezydent przed nim – otwarcie wchodzi w starcie z rządem i Donaldem Tuskiem personalnie. „Polska jest na bardzo złej drodze do rozwoju, coś trzeba zmienić" – mówił jasno już 6 sierpnia 2025 r. W kolejnych miesiącach szedł dokładnie tą drogą, którą zapowiedział w swoim pierwszym wystąpieniu jako głowa państwa. Twardo, z wysoko uniesionymi pięściami, gotowy w każdej chwili do starcia z rządzącymi.

Ostatnie 12 miesięcy w dużej mierze zostały zdefiniowane przez rywalizację Nawrockiego z Tuskiem. Jasno widać, że żaden z nich nie zamierza tutaj nadstawiać drugiego policzka ani zrobić kroku w tył.

I trudno się spodziewać, żeby w najbliższych miesiącach cokolwiek się w tej kwestii zmieniło. Ich rywalizacja co najwyżej jeszcze się zaostrzy. Z dwóch powodów. Tusk – czego nas nauczył przez te wszystkie lata swojego premierowania – najlepiej funkcjoniuje, gdy ma wyrazistego rywala, jasno zdefiniowanego wroga, a Nawrocki w tej roli sprawdza się świetnie, być może nawet lepiej niż Kaczyński.

Z kolei prezydent nie ukrywa, że jego wielkim celem politycznym jest gruntowna przebudowa polskiej sceny politycznej. On chce sprawić, by za jego kadencji III Rzeczpospolita – ze swoim porządkiem i swoimi instytucjami – znikła, w jej miejsce narodziła się Rzeczpospolita kolejna, z nowym porządkiem polityczno-instytucjonalnym. Tusk, jako jedna z ikon III RP, siłą rzeczy jest dla niego przeszkodą w realizacji tych celów. Zbliżające się wybory są najbliższą okazją, by go z drogi odsunąć. Trudno się spodziewać, żeby Nawrocki nie próbował tej okazji wykorzystać.

A to oznacza, że polska polaryzacja jeszcze się zintensyfikuje. Od 2005 r. mamy nieprzerwane rządy PO i PiS. Od ponad 20 lat polskie życie publiczne jest podzielone między Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego. Ich rywalizacja nie pozostawiała właściwie miejsca dla nikogo innego. Ich antagonizm stał się siłą definiującą polskie życie publiczne przez ponad dwie dekady.

Karol Nawrocki wynosi tę rywalizację na kolejny poziom. Póki co premier sobie z tym radzi, wytrzymuje tę rywalizację - co pokazują sondaże poparcia partyjnego. Ale też widać, jak obecny obóz władzy szybko się zużywa. Pałac prezydencki też to widzi, będzie dociskał gaz. A my będziemy się przyglądać temu, jak polaryzacja w Polsce dalej się pogłębia.

AGATON KOZIŃSKI
zastępca redaktor naczelnej



ZESKANUJ KOD

- Wiadomości z kraju i ze świata znajdziesz na **i.pl**
- Jesteśmy obecni w 20 największych polskich miastach
- Treści regionalne łączymy z publicystyką, a także materiałami wideo

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

eprasa.pl 91b9e96d45

Zakłócenia sygnału GPS

Podczas wakacji wiele podróżujemy, więc przydaje się nam system GPS (Global Positioning System). Mały odbiornik, obecnie często wbudowany do telefonu komórkowego a nawet do zegarka, współpracujący ze skomplikowanym systemem satelitów krążących w kosmosie i dysponujących atomowymi zegarami, pozwala podróżnikowi ustalić swoje położenie w dowolnym punkcie kuli ziemskiej.

Niestety, obecnie w wielu rejonach świata działanie tego systemu jest celowo zakłócane, głównie z powodów związanych z wojną. Najsilniej GPS zakłócany jest na Bliskim Wschodzie w związku z wojną USA z Iranem, ale wojna między Ukrainą i Rosją także skutkuje celowymi zakłóceniami sygnału GPS, co przenosi się także do Polski, gdzie niekiedy notuje się nieprawidłowe działanie GPS. Najgorsza sytuacja była w marcu tego roku, kiedy system GPS był zakłócany na terenie całej Polski. Obecnie zakłócenia notuje się niekiedy we wschodnich i północnych województwach, ale są serwisy internetowe pozwalające na bieżąco sprawdzać, gdzie ewentualnie powinniśmy liczyć się z utrudnieniami. Nie podaję nazw, bo tych serwisów jest kilka.

Żeby zrozumieć, jak zakłócany jest GPS, trzeba sięgnąć do wiedzy na temat tego, czym jest ten system.

Jego bazą jest zespół sztucznych satelitów krążących wokół Ziemi na wysokości około 20 183 km. Satelitów tych jest około 30 - liczba ta zmienia się, bo Departament Obrony Stanów Zjednoczonych który wytworzył system GPS i nim na bieżąco zarządza, systematycznie wystrzeliwuje nowe satelity i usuwa z orbit stare lub uszkodzone. Może je także w każdej chwili wyłączyć, gdyby tego wymagał interes USA, ale od 1978 roku, kiedy wystrzelono pierwszego satelitę, nigdy tego nie zrobiono.

Początkowo GPS (od 1991 roku) służył wyłącznie do zastosowań wojskowych, ale od 2000 roku udostępniono go także do zastosowań cywilnych.

GPS pozwala podróżnikowi ustalić swoje położenie w dowolnym punkcie kuli ziemskiej. W połączeniu z mapami cyfrowymi pozwala to wyznaczyć trasę do dowolnego celu i prowadzić aktywną nawigację podczas jazdy samochodem

RYSZARD TADEUSIEWICZ
profesor AGH

Satelity dzielą się na dwie grupy: jedne mają orbity nachylone pod kątem 55 stopni do płaszczyzny równika i te dają bardzo dobrą nawigację w USA i Europie. Potem dodano grupę satelitów z orbitami nachylonymi pod kątem 63 stopni, żeby pokryć obszary bliższe biegunom.

Ustalanie położenia w systemie GPS polega na dokładnym określaniu czasu, kiedy sygnał z satelity dotarł do odbiornika użytkownika. Znając moment wysłania sygnału przez satelitę i szybkość rozchodzenia się fal radiowych, można obliczyć odległość od satelity do odbiornika. Dokładając do tego informację o położeniu satelity w momencie wysyłania sygnału, można wyznaczyć na powierzchni Ziemi zbiór punktów właśnie tak odległych od nadającego sygnał satelity. Taki zbiór punktów jest jeszcze nieprzydatny, ponieważ jest to w istocie ogromny okrąg. Nasz odbiornik jest gdzieś na tym okręgu. Ale mierząc w ten sam sposób odległość od drugiego, trzeciego, czwartego itd. satelity otrzymujemy układ okręgów, które się przecinają. Miejsce, w którym przecinają się wszystkie wyznaczone okręgi, jest lokalizacją naszego odbiornika. W połączeniu z mapami cyfrowymi pozwala to wyznaczyć trasę do dowolnego celu i prowadzić aktywną nawigację podczas jazdy samochodem, ale także przy jeździe rowerem, podczas wędrówki pieszej czy w czasie żeglowania.

Tak to działa przy braku zakłóceń. Chcący zakłócić działanie tego systemu - a najczęściej są to wojskowi próbujący ochronić się przed atakiem dronów lub rakiet naprowadzanych sygnałem GPS - używają silnych nadajników wysyłających falę radiową o tej samej długości, co sygnał z satelitów GPS - no i odbiornik w nadlatującym pocisku „głupieje". A że przy okazji zakłócona jest nawigacja wszystkich urządzeń GPS w pobliżu, w tym także tych cywilnych na terenie Polski - to już jedna z bardzo wielu szkód toczącej się za naszą wschodnią granicą okrutnej wojny.

RYSZARD TADEUSIEWICZ
profesor AGH



REKLAMA 0011557855



eprasa.pl 91b9e96d45

CO ZA TYDZIEŃ

Przygotował **AGATON KOZIŃSKI**
zastępca redaktora naczelnego
„Polski Metropolii Warszawskiej”



3.08 poniedziałek

Przywódcy 22 krajów UE podpisali list, oskarżając premiera Hiszpanii Pedro Sancheza o „egoizm” i działania niezgodne z prawem. Chodzi o kryzys migracyjny, który wybuchł w hiszpańskich enklawach w Afryce.

Do Ceuty, kontrolowanego przez Madryt miasta bezpośrednio sąsiadującego z Marokiem, wtargnęło ponad 50 tys. nielegalnych migrantów – bez reakcji władz Hiszpanii. Pod listem podpisali się m.in. Donald Tusk, Friedrich Merz, Giorgia Meloni.



4.08 WTOREK

Zmarł Andrzej Morozowski, publicysta i dziennikarz przez wiele lat związany z TVN24. Był niezwykle popularny i cieszył się dużym autorytetem w środowisku dziennikarskim, czego potwierdzeniem były m.in. liczne nagrody branżowe, jakie otrzymał przez wszystkie lata swojej kariery. Zmarł w wieku 69 lat.

Morozowski w latach 90. był korespodentem sejmowym Radia Zet. Pracę w TVN24 zaczął w chwili rozpoczęcia emisji tego kanału w 2001 r. Wyspecjalizował się w rozmowach politycznych, prowadząc autorskie programy. „Andrzej Morozowski był (bardzo smutny ten czas przeszły) dziennikarzem z prawdziwego zdarzenia” – tymi słowami publicystę pożegnał premier Donald Tusk.

5.08 środa

Naczelny Sąd Administracyjny oddalił kasacje ws. dotacji i subwencji dla PiS. Partia złożyła skargę do sądu po tym, jak nie otrzymała raty subwencji za 2024 r. w wysokości niemal 6,5 mln zł. Resort finansów nie wypłacił pieniędzy w związku z odrzuceniem sprawozdania wyborczego PiS przez PKW.



5.08 środa

17 osób zginęło, a 44 zostało rannych w nocnych atakach Rosji na Kijów i obwód kijowski.

Rosja zaatakowała z użyciem 28 rakiet i 115 dronów. Z komunikatu Sił Powietrznych Ukrainy wynika, że podczas ataków nie zestrzelono ani jednej rosyjskiej rakiety. Ukraińcy nie mają czym tego robić.



3.08 poniedziałek

Duńska księżniczka Izabela wstąpiła do wojska. 19-latka w Pułku Huzarów Gwardii w Slagels spędzi łącznie 11 miesięcy. Najpierw przejdzie pięć miesięcy szkolenia podstawowego, a potem sześć miesięcy służby żołnierskiej.

Izabela jest jedną z pierwszych Dunek, które tak dużo czasu spędzą w koszarach. Do końca lipca podstawowa służba wojskowa w Danii trwała zaledwie cztery miesiące.

3.08 poniedziałek

Kard. Stanisław Dziwisz zeznawał w przed Sądem Okręgowym w Krakowie jako świadek w procesie wytoczonym Archidiecezji Krakowskiej przez ofiarę wykorzystania seksualnego przez księdza. Chodzi o kwestię zadośćuczynienia od Archidiecezji Krakowskiej i parafii w Międzybrodziu Bialskim dla Janusza Szymika, który w latach 1984-1989 jako dziecko był wykorzystywany seksualnie przez ówczesnego proboszcza ks. Jana W. Emerytowany metropolita krakowski podkreśla, że nie zna tej sprawy, gdyż w tym okresie przebywał w Watykanie.





5.08 środa

Rafał Trzaskowski zaprezentował wyniki audytu w warszawskich szpitalach, który przeprowadzono po skandalu w Warszawskim Szpitalu Południowym. Ustalenia wykazały wiele nieprawidłowości. „Audyt pokazał dyżury po 48, 60, 72 godziny bez przerwy, a rekord w Szpitalu Południowym wyniósł 110 godzin, czyli prawie pięć dób” – mówił prezydent stolicy, dodając, że jeden z lekarzy przepracował prawie 400 godzin miesięcznie.

6.08 czwartek

Już 64 obiekty podwodne można zwiedzać pod wodą w polskich wodach Bałtyku bez występowania o jednorazowe pozwolenie. Urząd Morski w Gdyni do tej listy dołączył właśnie 19 nowych obiektów.

Są to głównie statki i okręty (ale jest też wrak samolotu), które zatonęły w czasie rejsu po Bałtyku. Większość z nich zalega na głębokości nie większej niż 50 metrów. Z nowych obiektów najatrakcyjniejszy wydaje się okręt podwodny U 768, który zatonął w Zatoce Gdańskiej w 1943 r.

FOT. PAP/EPA, PAP/RAFAŁ GUZY, PAP/MARCIN OBARA, PAP/PRZEMYSŁAW PIĄTKOWSKI

eprasa.pl 91b9e96d45

POLITYKA KLIMATYCZNA

Tydzień pod znakiem upałów i polityki

W Polsce ostatnie dni były ekstremalnie gorące, z temperaturą przekraczającą 40 stopni Celcjusza. Senat odrzucił propozycję prezydenta o organizację ogólnopolskiego referendum w sprawie polityki klimatycznej UE

Jan Żeleźniak

Fala upałów przetoczyła sie przez Polskę - podobnie zresztą jak przez inne państwa naszego kontynentu. Temperatura w cieniu przekraczała nawet 40 st. C. Najbliższe dni mają być chłodniejsze - ale później upał może znów się zintensyfikować.

Temperatura w czwartek dochodziła do 39 st. C na południowym wschodzie Polski. Wysokiej temperaturze towarzyszyły burze niemal w całym kraju. W piątek na południu kraju należy się spodziewać burz, i temperatury do 26 st. C. W nocy z soboty na niedzielę lokalnie 8 st. C - poinformował synoptyk IMGW Michał Folwarski.

Według eksperta Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej front atmosferyczny nad Polską spowoduje pogorszenie pogody w czwartek oraz w nocy z czwartku na piątek. - Natomiast w nocy z piątku na sobotę i w sobotę wejdziemy w zasięg wyżu co poskutkuje poprawą pogody - powiedział Folwarski.

Od piątku może być trochę chłodniej. Temperatura na południu będzie wynosić 21-22 st. C. W północno-zachodniej części kraju, w szczególności na Pomorzu, wynosić będzie w okolicach 10 st. C.



FOT. PAP/WOJTEK JARGIŁO

Coraz niższy poziom wody w Wiśle. Konsekwencja bardzo gorącego sierpnia. Referendum o polityce klimatycznej UE w Polsce nie będzie

Wiatr poza obszarami burz będzie słaby, nad wybrzeżem umiarkowany i porywisty. W większości kraju z kierunków zachodnich.

W piątek w południowej i południowo-wschodniej części kraju nadal można spodziewać się gwałtownych burz z opadami rzędu 30-35 mm i porywami wiatru w okolicach 70 km/h. Na północy i zachodzie więcej słońca. Temperatura w piątek maksymalnie do 26 st. C na południu kraju, a na Pomorzu do 19-20 st. C.

Wiatr będzie słaby i umiarkowany lecz może być porywisty na Wybrzeżu. W większości kraju północno-zachodni i zachodni. Noc z piątku na sobotę bez opadów, na południu temperatura do 16 st. C, na północy temperatura może spaść poniżej 10 st. C, lokalnie w okolicach Pomorza, Warmii i Mazur nawet do 8 st. C.

Równoległe do gorącej pogody obserwujemy wysoką temperaturę sporu politycznego - także o politykę klimatyczną, którą Polska realizuje w ramach Unii Europejskiej.

W lipcu prezydent Karol Nawrocki skierował do Senatu wniosek o referendum w sprawie Zielonego Ładu, w którym Polacy mieliby odpowiedzieć na pytanie: „Czy jest Pan/Pani za realizacją przez Polskę polityki klimatycznej Unii Europejskiej?".

W uzasadnieniu do wniosku prezydenta wskazywano, że ponowne złożenie wniosku o przeprowadzenie referendum wynika z woli, by to naród jako suweren podjął decyzję o kluczowym znaczeniu dla polskich gospodarstw domowych, rolnictwa i gospodarki.

Decyzję o ponowieniu wniosku, jak przekazano w uzasadnieniu, podjęto po przeanalizowaniu propozycji rewizji dyrektywy ETS z 17 lipca 2026 r. „Zamiast realnej, głębokiej reformy odpowiadającej skali problemów, (...) Komisja Europejska przedstawiła zestaw technicznych korekt, które nie zmieniają ani kierunku, ani ostatecznego tempa najbardziej kosztownych elementów polityki klimatycznej. Komisja Europejska nie proponuje zasadniczego ograniczenia kosztów systemu, lecz jedynie częściowe przesunięcie ich w czasie" - wskazano.

Prezydencki wniosek o referendum trafił - zgodnie z konstytucją - pod obrady Senatu. To izba wyższa parlamentu ostatecznie przesądza o tym, jakie referenda są organizowane w Polsce. I ten projekt prezydencki nie znalazł jego poparcia.

W głosowaniu za odrzuceniem wniosku o organizację referendum zagłosowało 59 senatorów. 32 było przeciw, a jeden wstrzymał się od głosu.

Wcześniej na połączonym posiedzeniu kilku senackich komisji senator Piotr Masłowski (Klub Senacki NOWA Polska-Centrum) zgłosił wniosek o niewyrażenie zgody na przeprowadzenie referendum. Senator wskazywał, że Europa powinna inwestować w odnawialne źródła energii, żeby zmniejszyć ceny energii.

- Ja tylko przypomnę, że kiedy Solidarna Polska (...) próbowała w poprzedniej kadencji złożyć wniosek o wycofanie Polski z ETS-u, to wtedy zarówno premier (Mateusz) Morawiecki, jak i Jarosław Kaczyński twierdzili, że tego się po prostu nie da zrobić, bo tego się nie da zrobić, o czym wy doskonale wiecie - mówił Masłowski.

- Zresztą to pada z waszej strony, że tu nie chodzi o wyjście z ETS-u, a o wzmocnienie naszego głosu w negocjacjach w Unii Europejskiej, tylko, na litość boską, nie temu służy konstytucyjne referendum. Dlatego ja, nie szukając żadnego alibi, z całą pewnością zagłosuję przeciwko temu wnioskowi - powiedział Piotr Masłowski w Senacie. **PAP**

REKLAMA

0011550896



eprasa.pl 91b9e96d45

POLITYKA

Rok prezydenta rokiem walki o własną polityczną pozycję

Pierwszy rok prezydentury Karola Nawrockiego był naznaczony wetami i nieustanną wojną z ekipą Donalda Tuska. Trudno zakładać, że w najbliższym czasie coś w tej kwestii się zmieni

Dorota Kowalska



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Karol Nawrocki w Sejmie 6 sierpnia 2025 r. Przemówienie inaugurujące jego prezydenturę było nakreśleniem jego wizji pełnienia urzędu – ale także zapowiedzią ostrej konfrontacji z rządem

Jeśli ktoś zakładał, że pierwsze 12 miesięcy urzędowania Karola Nawrockiego będzie rokiem pełnym politycznych emocji, ciągłych sporów nowego prezydenta z rządem Donalda Tuska i jego walki o rząd dusz na prawicy, nie pomylił się ani na jotę.

Najlepiej zresztą podsumował to premier Tusk, pytany o sytuację na prawicy i rok prezydentury Karola Nawrockiego.

– Z całą pewnością na prawicy zawodnikiem wagi ciężkiej jest prezydent Nawrocki – ocenił. – Nie mówię tutaj o gabarytach i o boksie, tylko o tym chyba nie do końca przewidzianym przez Kaczyńskiego pojedynku między nimi. Moim zdaniem Kaczyński nie ma szans – podsumował szef rządu.

Dodał, że z okazji rocznicy powstrzyma się od „przesadnie złośliwych uwag", ale wskazał trzy decyzje prezydenta, które, jego zdaniem, miały szczególne znaczenie. I w tym kontekście wymienił weto wobec europejskiego programu SAFE, ułaskawienie „Starucha" oraz weto wobec ustawy regulującej status osoby najbliższej.

Owszem, rozmawia z Karolem Nawrockim, ale jak zaznaczył premier, te rozmowy odbywają się zawsze z jego inicjatywy. Ostatnia dotyczyła rosyjskiej rakiety, która spadła w województwie lubelskim.

No cóż, rządzący lekko z prezydentem nie mają, ale, powiedzmy sobie szczerze, można się było tego spodziewać już w czasie kampanii prezydenckiej. Prezydent Nawrocki nigdy nie ukrywał, że uważa Donalda Tuska za najgorszego premiera III RP i zrobi wszystko, aby utrudnić życie koalicji 15 października i odsunąć ją od władzy. Słowa dotrzymał. Wystarczy wspomnieć, że w ciągu pierwszego roku swojej prezydentury podpisał 243 ustawy, ale 41 zawetował. Więcej niż wszyscy dotychczasowi prezydenci, nawet ci, którzy swój urząd sprawowali dwie kadencje. Może stąd przydomek „wetomat".

Przy okazji któregoś z wet Karol Nawrocki zwrócił się zresztą do rządu z prośbą czy może żądaniem konsultowania z nim projektów ustaw „już na wczesnym etapie prac".

Niektórzy komentatorzy sceny politycznej zwrócili uwagę, że prezydent zachowuje się jak „nadpremier", w każdym razie próbuje nadać ton pracom ekipie Donalda Tuska. Najwidoczniej zauważył to także sam Tusk, pewnie stąd jego słowa o tym, że „prezydent jest od reprezentowania, a rząd od rządzenia".

Ale prezydent Nawrocki robi swoje i tam gdzie może, mówi: nie. W połowie listopada Pałac Prezydencki zablokował awanse ponad 100 funkcjonariuszy i żołnierzy ABW oraz SKW. Pretekstem miała być odmowa stawienia się u głowy państwa przez szefów służb specjalnych.

Krótko po tej decyzji RMF FM nieoficjalnie poinformowało, że Pałac Prezydencki jest w konflikcie z ABW i SKW, a decyzja Nawrockiego to zemsta. W Kancelarii Prezydenta podejrzewają ponoć, że to właśnie z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego wyszła informacja o sprawie kawalerki pana Jerzego w kampanii wyborczej. Agencja miała też robić wszystko, aby Nawrocki nie został głową państwa. Służba Kontrwywiadu Wojskowego miała z kolei podpaść odebraniem prezydentowi dostępu do tajemnic ówczesnemu szefowi Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomirowi Cenckiewiczowi. Z kolei Onet pisał, że powodem wojny o awanse w służbach mają być rosnące wpływy ludzi Antoniego Macierewicza na funkcjonowanie Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Nawrocki odmówił także przyznania odznaczeń i orderów funkcjonariuszom ABW, także tym, którzy mieli zostać odznaczeni w związku ze zwalczaniem wrogich aktów dywersji.

Wszystko zmieniło się w kwietniu tego roku – prezydent Karol Nawrocki nagle podpisał 96 nominacji oficerskich dla funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i nadał odznaczenia państwowe.

„Wyrażam nadzieję, że nominacje oficerskie nigdy już nie będą elementem politycznych gier" – skomentował minister do spraw koordynacji służb specjalnych Tomasz Siemoniak. I dodał, że funkcjonariusze „od listopada czekali na decyzję prezydenta".

Wcześniej Karol Nawrocki nie zgodził się na nominację 46 sędziów. Każdy z tych sędziów podpisał wcześniej dwa rodzaje listów: protest przeciwko tzw. wyborom kopertowym oraz apel o wykonanie wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej dotyczących Izby Dyscyplinarnej.

Prezydent nie zgadza się też na wiele nominacji ambasadorskich i nie przyjmuje ślubowania od części wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Z drugiej strony premier Donald Tusk kilkukrotnie odmówił kontrasygnaty decyzji prezydenta, nie chce iść na kompromis w kwestii wyboru niektórych ambasadorów czy ustaw przygotowanych w Pałacu Prezydenckim.

Jedni mówią więc o wojnie totalnej, inni o „nienajlepszych stosunkach małego i dużego pałacu".

Co ważne, w kwestiach bezpieczeństwa prezydent z rządem współpracuje. Jedyna rzecz, jaka poróżniła w tej kwestii Pałac Prezydencki i Kancelarię Premiera, to unijny program SAFE. Rząd postawił jednak na swoim i, mimo weta prezydenta Nawrockiego, z programu skorzystał.

Karol Nawrocki walczy jednak nie tylko z rządem Donalda Tuska, walczy także o rząd dusz na prawicy, ale jedno z drugim jest ściśle powiązane.

– Nawrocki i szefowie jego gabinetu mają świadomość, że mogą przejąć rząd dusz nad prawą stroną, że Jarosław Kaczyński jednak przestaje dawać radę. Ale nie wieszczę końca Jarosława Kaczyńskiego. Natomiast jest bliżej końca niż początku. W związku z tym Karol Nawrocki wszedł tu ze swoją polityką „z buta". Zresztą jest to bardzo dobre z punktu widzenia jego PR-u politycznego – mówił już w styczniu tego roku w podcaście „Strefa Wpływów" ekspert ds. marketingu politycznego dr Mirosław Oczkoś.

Mówią o tym także inni politolodzy i komentatorzy sceny politycznej, tym bardziej że dzisiaj, po tym jak w Prawie i Sprawiedliwości doszło do największego w historii rozłamu, z partii wyszedł Mateusz Morawiecki ze swoimi ludźmi, pozycja Kaczyńskiego jest dużo słabsza niż jeszcze kilka miesięcy temu.

W artykule opublikowanym w środę 5 sierpnia na stronie internetowej francuskiego dziennika „Le Monde" czytamy, że Karol Nawrocki „nie ukrywa swoich ambicji zdominowania całej polskiej prawicy, nawet jeśli oznacza to okazanie pobłażliwości rosnącej w siłę skrajnej prawicy".

Według dziennika Nawrocki „zawdzięcza w dużej mierze swą popularność faktowi, że dotrzymał jednego ze swoich głównych zobowiązań z kampanii – utrudniania działania centroprawicowemu rządowi Donalda Tuska". Gazeta zauważa, że „prezydent używał swego prawa weta 41 razy od czasu objęcia funkcji". Zwraca też uwagę, że „do tej pory przyjął on ślubowanie tylko od trojga z siedmiu sędziów Trybunału Konstytucyjnego wybranych przez Sejm. Prezydent kontynuował również „wojnę ambasadorów" rozpoczętą przez Dudę" – czytamy.

I nie są to słowa na wyrost. Jak wynika z najnowszym sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski 20,4 proc. badanych uważa, że to Karol Nawrocki jest obecnie faktycznym liderem obozu polskiej prawicy. Na prezydenta wskazało więcej osób niż na Jarosława Kaczyńskiego, który zdobył 19,8 proc. głosów. Największy odsetek Polaków uważa jednak, że polska prawica nie ma dziś jednoznacznego przywódcy.

Karol Nawrocki w ogóle cieszy się popularnością wśród Polaków. Rok po jego wyborze na urząd prezydenta, utrzymuje bardzo wysokie notowania. Pod koniec lipca, CBOS podał, że jego działalność pozytywnie ocenia aż 56 procent badanych. To najwyższy wynik głowy państwa od początku jego kadencji. Podobnie jest w przypadku rankingów zaufania. Badanie IBRiS dla Onetu, opublikowane w ostatnim tygodniu lipca, pokazuje, że Nawrockiemu ufa 51,3 procent ankietowanych, co jest najlepszym wynikiem wśród polityków. Jednocześnie, nieufność wobec prezydenta deklaruje 41,6 procent badanych.

To świetny wynik. Karol Nawrocki buduje się politycznie, chwali dobrymi relacjami z prezydentem Donaldem Trumpem, jeździ po Polsce i świecie. Jest tylko jedno „ale", w kampanii prezydenckiej zapowiadał, że chce być prezydentem sprawczym i aktywnym. Póki co jego aktywność sprowadza się głównie do wetowania ważnych dla rządu ustaw i wychodzenia z inicjatywami, które z góry skazane są na porażę i z których kompletnie nic dla nas nie wynika.

eprasa.pl 91b9e96d45

POLITYKA

Jak wygląda prezydentura Karola Nawrockiego

6 sierpnia minął rok od zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego. Przez te 12 miesięcy postarał się on, by było głośno o jego działalności, zwłaszcza w kontekście sporów z rządem Donalda Tuska. Jak wyglądał ten rok?



FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Karol Nawrocki od początku sprawowania urzędu podpisał 165 ustaw, a zawetował 41

Adam Kielar

Karol Nawrocki wygrał drugą turę wyborów prezydenckich, która miała miejsce 1 czerwca 2025 roku. Według oficjalnego komunikatu Państwowej Komisji Wyborczej, wyniki w liczbach prezentowały się następująco: Karol Nawrocki – 10 606 877 (50,89 procent), Rafał Trzaskowski – 10 237 286 (49,11 procent).

Zaprzysiężenie Karola Nawrockiego jako prezydenta odbyło się przed Zgromadzeniem Narodowym 6 sierpnia 2025 roku.

Prezydent Karol Nawrocki w liczbach

Rok prezydentury Karola Nawrockiego można podsumować w liczbach dotyczących jego działań.

Jedną z najgłośniejszych spraw, budzących kontrowersje, są weta. Przeciwnicy Nawrockiego często określają go jako „wetomat", krytykując liczbę ustaw, które zawetował. W sumie, do 17 lipca, prezydent zwrócił ponownie do parlamentu aż 41 różnych projektów. To więcej niż Aleksander Kwaśniewski zawetował przez całe 10 lat bycia prezydentem.

Z drugiej strony Nawrocki podpisał 165 ustaw. Ponadto do tej pory obecny prezydent ułaskawił siedem osób, a w pięciu przypadkach odmówił zastosowania prawa łaski.

Spory prezydenta z rządem

Rok po wyborze prezydent Karol Nawrocki utrzymuje bardzo wysokie notowania. Pod koniec lipca CBOS podał, że jego działalność pozytywnie ocenia aż 56 procent badanych. To najwyższy wynik głowy państwa od początku jego kadencji.

Podobnie jest w przypadku rankingów zaufania. Badanie IBRiS dla Onetu, opublikowane w ostatnim tygodniu lipca, pokazuje, że Nawrockiemu ufa 51,3 procent ankietowanych, co jest najlepszym wynikiem wśród polityków. Jednocześnie, nieufność wobec prezydenta deklaruje 41,6 procent badanych.

Tym, co często wzbudza gorące dyskusje pomiędzy politykami czy komentatorami, są relacje prezydenta z rządem. To nie tylko kwestia wspominanych wcześniej wet głowy państwa do ustaw.

Spór gabinetu Donalda Tuska z Karolem Nawrockim jest widoczny na wielu innych polach. Prezydent nie zgadza się na przykład na wiele nominacji ambasadorskich, wstrzymywał awanse oficerskie czy na przykład nie przyjmuje ślubowania od części wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Z drugiej strony premier kilkukrotnie odmówił kontrasygnaty decyzji prezydenta, a także w niektórych kwestiach nie bierze pod uwagę kompromisu, choćby w przypadku niektórych kandydatur na ambasadorów.

Na szczęście w poważnych sytuacjach, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo kraju, władze pokazały, że są w stanie współdziałać. Mowa o wlocie nad Polskę rosyjskich dronów we wrześniu 2025, a także ostatnim naruszeniu polskiej przestrzeni przez pocisk z Rosji.

REKLAMA 0011561466

BALNEA
MEDICAL SPA

Sanatorium nowej generacji w Inowrocławiu

www.balneamed.pl



Balnea Medical SPA, wcześniej Sanatorium Modrzew, to miejsce, w którym tradycja uzdrowiskowa spotyka się z nowoczesną rehabilitacją, a każdy pobyt staje się realną inwestycją w zdrowie i samopoczucie: łączymy doświadczenie zespołu medycznego, diagnostykę oraz naturalne zasoby uzdrowiska, aby pomagać naszym Gościom wracać do formy.



NASZE PROFILE LECZNICZE

Narząd ruchu i schorzenia reumatyczne
Choroby dróg oddechowych
Krążenie i profilaktyka kardiologiczna
Rehabilitacja pourazowa i pooperacyjna
Stres, napięcie i zaburzenia snu.



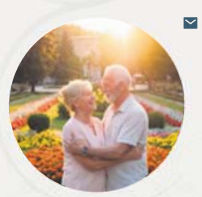

REZERWACJE
pobytów stacjonarnych
52 357 30 84
recepcja@balneamed.pl

UL. MACIEJA WIERZBIŃSKIEGO 50A
88-100 INOWROCŁAW

REKLAMA 0211461412

CM
ELEGANCJA

Letnie trendy
w Centrum Mody Nadarzyn

Czynne w każdą NIEDZIELĘ*
* niektóre sklepy

Al. Katowicka 51, Nadarzyn
tel. 22 739 55 00



eprasa.pl 91b9e96d45

POLITYKA

Prof. Dudek: Morawiecki był skuteczny w budowaniu swojej frakcji w okresie, kiedy był premierem

– Wszystkie media huczą o rozłamie, wszyscy o tym mówią. Jesienią nawet ułamka tego zainteresowania mediów, które jest teraz, Rozwojem Plus nie będzie. To jest główne wydarzenie w sezonie letnim, ale jesienią pojawi się mnóstwo innych historii. I nagle Morawiecki będzie miał problem, bo nie będą za nim biegać dziennikarze z dziesiątkami kamer. Wtedy okaże się, jak on i jego ludzie sobie radzą – mówi prof. Antoni Dudek, politolog

Dorota Kowalska



FOT. ADAM JANKOWSKI

Prof. Dudek: Morawiecki był skuteczny w budowaniu swojej frakcji w okresie, kiedy był premierem

Panie profesorze, jakie Pan daje szanse w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych Mateuszowi Morawieckiemu i jego ludziom?

To jest jedno z najważniejszych pytań, na które nie potrafię odpowiedzieć. Dlatego, że dzisiaj nikt nie jest w stanie powiedzieć, jak ostatecznie podzieli się Prawo i Sprawiedliwość. Ten podział będzie schodził w dół przez najbliższe tygodnie i miesiące. Na razie podzielił się klub i widzimy, że to jest proporcja mniej więcej cztery piąte – jedna piąta. Ale jak to będzie w przypadku struktur terenowych, tego nikt z nas nie wie. Nie wiedzą tego także ani Morawiecki, ani Kaczyński, a to będzie jeden z czynników określających potencjał rozwoju stowarzyszenia Rozwój Plus w przyszłym roku.

Od czego zależy, jak ten podział struktur będzie wyglądał?

Oczywiście od tego, po której ze stron opowiedzą się lokalni liderzy. Generalnie polska polityka polega na przywództwie jednoosobowym, zwłaszcza w PiS-ie. Mamy teraz lokalnego działacza, nie wiem, na przykład w Sieradzu, i on musi zdecydować, czy ciągnie struktury Sieradza w stronę Morawieckiego, czy zostaje przy Kaczyńskim. Takich małych miasteczek jest bardzo dużo, a struktur lokalnych PiS ma całkiem sporo. To tam wszystko się rozstrzygnie. To jest kompletnie nieprzewidywalne dzisiaj. Poza jednym: większość zostanie przy Kaczyńskim, tylko chodzi o to, jaka mniejsza część pójdzie za Morawieckim. Kolejna sprawa: jak już Rozwój Plus będzie wystawiał listy, to pytanie, czy będą na nich wyłącznie ludzie, którzy wyszli z PiS-u, czy też pojawią się tam jakieś nowe osoby, na czym Morawieckiemu zależy. To było już widać w czasie tego grilla, na którego zaczął ściągać i zapraszać ludzi, którzy dotąd z PiS-em nie byli kojarzeni. Więc pytanie, czy uda mu się obudować Rozwój Plus jakimiś nowymi środowiskami politycznymi, których dotąd w PiS-ie nie było, a być może wręcz zbudować jakąś szerszą koalicję na przykład z PSL-em, który oczywiście dziś mówi „nie", ale zobaczymy, co będzie mówił późną wiosną przyszłego roku.

Są jeszcze politycy Polski 2050.

Tak, ale oni są mniej warci. Dzisiaj jest pani Pełczyńska-Nałęcz i oczywiście ona też wchodzi w grę, tylko Polska 2050 ma poniżej jednego procenta poparcia w sondażach. Więc jest niewiele warta. Więcej warte byłyby nowe środowiska, które będą się próbowały uformować być może przed przyszłorocznymi wyborami i które też próbują walczyć o centrowego wyborcę. A więc zobaczymy. Jest za wcześnie, żeby prognozować, co będzie za półtora roku.

Morawiecki póki co mówi: „Żadnej współpracy z ludźmi, którzy dzisiaj wspierają Tuska".

Jeżeli pani Pełczyńska-Nałęcz wyjdzie z rządu albo zostanie usunięta z rządu, to może zmienić zdanie. Większy problem jest z PSL-em, bo ono się nie ustawił tak ostro w opozycji do Tuska, więc tu będzie raczej trudno. Nie spodziewam się, żeby PSL opuściło koalicję w przyszłym roku. W związku z tym ten sojusz jest mało prawdopodobny, ale też Morawiecki może zmieniać zdanie. Proszę zwrócić uwagę, jak on do momentu wyjścia z PiS-u bronił konsekwentnie swojego rządu i mówił, że wszystko było znakomicie, a teraz zaczyna mówić, że były pewne błędy, na czele z wymiarem sprawiedliwości, ale wymienił też kilka innych z czasów, kiedy był premierem. Więc widać, że zmienia narrację i, moim zdaniem, będzie musiał jeszcze mocniej ją zmienić. Jeżeli Morawiecki chce się uwiarygodnić wśród niepisowskich wyborców, to musi jeszcze ostrzej skrytykować epokę swoich rządów.

Pan się tego rozłamu w Prawie i Sprawiedliwości spodziewał?

On narastał od dawna. Katalizatorem przyspieszającym ten rozłam było przyjęcie ziobrystów do PiS-u w październiku 2024 roku, bo to zachwiało już i tak chwiejną równowagę w tej partii, przesunęło ją jeszcze bardziej na prawo. Więc spodziewałem się, że w pewnym momencie dojdzie do rozprawy z Morawieckim. Tylko sądziłem, że prezes Kaczyński wyrzuci ich wiosną przyszłego roku, kiedy będzie finalizował ustalanie list wyborczych, żeby oni nie mieli czasu się uformować. Stało się inaczej. I nie do końca rozumiem, dlaczego.

No właśnie, dlaczego teraz?

Nie wiem. Rozumiem, że ci, tak jak to mówi Morawiecki, intryganci, czyli przeciwnicy Morawieckiego w szeregach PiS-u, zdołali przekonać prezesa, że rzeczywiście PKW sterowana przez Tuska pod pretekstem istnienia stowarzyszenia zabierze im subwencję, którą dostaje z budżetu PiS. I chyba prezes w to uwierzył. Tak mi się wydaje. Mówi się, że to jest pretekst, ale wiem, że dla prezesa pieniądze na kampanię są absolutnie fundamentalnie ważne. I kiedy stwierdził, że jest takie zagrożenie, to uznał, że czas się rozprawić z Morawieckim już teraz. Innego sensownego powodu nie widzę, bo trzeba było go trzymać w partii do wiosny. Morawiecki ewidentnie nie chciał wychodzić z Prawa i Sprawiedliwości, został wypchnięty tym ultimatum. A drugie wytłumaczenie jest takie, że prezes uznał, iż dynamika rozwoju tego stowarzyszenia jest zbyt duża. Od mniej więcej kwietnia, kiedy zawarli to zawieszenie broni, prezes obserwował działania Morawieckiego i być może doszedł do wniosku, że między kwietniem a lipcem stowarzyszenie Morawieckiego rozwija się w szeregach PiS jak wirus w organizmie. I trzeba go zmusić do wyjścia już teraz, bo za dziewięć miesięcy będzie za późno.

Pojawiły się takie informacje, że Morawiecki i jego ludzie od dawna przygotowywali się do tego wyjścia, że pracowali nad strukturami, jeździli w teren, że to był przygotowany krok.

Z całą pewnością nie było to działanie spontaniczne. Nie mam wątpliwości, że tak naprawdę od czasu nawet wcześniejszego niż przyjęcie ziobrystów, bo ko-

eprasa.pl 91b9e96d45

rzenie tego konfliktu sięgają początków roku 2024, kiedy Morawiecki udzielił tego nieszczęsnego dla siebie wywiadu, w którym odsłonił swoje plany – przygotowywał się na taką ewentualność. To był wywiad, w którym powiedział, że życzy prezesowi dużo zdrowia, ale gdyby już prezes nie był w stanie kierować partią, to on może podjąć się misji przewodzenia PiS-owi, a w tak zwanym międzyczasie chętnie wystartuje jako kandydat PiS-u na prezydenta. To było dla Kaczyńskiego nie do przyjęcia – od tego momentu zaczął rozumieć, że Morawiecki chce mu zabrać partię. I było jasne, że będzie musiał kiedyś się Morawieckiego pozbyć. Pozostawało wybranie momentu. Na pewno przyjęcie ziobrystów było wzmacnianiem prawego skrzydła przez Kaczyńskiego. To, że Morawiecki nie zaprotestował wtedy otwarcie, bo oczywiście zakulisowo był temu przeciwny, było dla mnie pewnym zaskoczeniem. Najwyraźniej uważał, że jest jeszcze za wcześnie. Natomiast to, że on przygotowywał się do tego wyjścia, od dawna było dla mnie jasne, dlatego że jeszcze jako premier zbudował sobie grupę zwolenników. PiS zawsze miał strukturę frakcyjną – to nam się tylko wydawało, że jest monolitem. Tam zawsze były różne grupy, które się teraz objawiły jako ci „maślarze" i „harcerze", ale tak naprawdę jest ich więcej. To jest po prostu taki system, zresztą nieobowiązujący tylko w PiS-ie, choć tu może najwyraźniej go widać. W ramach partii są różne grupy, które mają swoich liderów. Można je nazwać frakcjami, można je nazwać koteriami. W każdym razie one funkcjonują i lider partii musi się liczyć z ich istnieniem. Tusk także musi się liczyć z istnieniem różnych grup wpływów wewnątrz Koalicji Obywatelskiej. Istotne jest, żeby one nie kwestionowały jego przywództwa. Tak stało w przypadku Morawieckiego – Morawiecki zakwestionował w końcu decyzję samego Kaczyńskiego i to musiało prowadzić do rozwodu.

Dziwi mnie tylko, że z Morawieckim wyszło aż tak wiele osób, bo czterdziestu czterech polityków to spora grupa.

To jest sporo, ale to pokazuje, jak Morawiecki był skuteczny w budowaniu swojej frakcji w okresie, kiedy był premierem. Przecież miażdżąca większość tych ludzi to osoby, którzy zawdzięczają swój awans w strukturach państwowych nie Kaczyńskiemu, tylko Morawieckiemu. To on ich znalazł. On ich, że tak powiem, przedstawił prezesowi do zatwierdzenia, a prezes je tylko pobłogosławił. Pani Semeniuk i różne inne osoby awansowały w bardzo młodym wieku dzięki Morawieckiemu i czują się wobec niego lojalne. Jest jeszcze grupa polityków pragmatycznych. Ich symbolem jest Ryszard Terlecki, który oczywiście niczego nie zawdzięcza Morawieckiemu, ale który ocenił, że tak ostry skręt w prawo PiS-u jest szkodliwy, że on długofalowo tej partii zaszkodzi. Nie wiem, może Terlecki wierzył w te dwa płuca. Jest w tym jakaś racjonalność, żeby wielka partia polityczna pozyskiwała bardzo różnych wyborców. Tylko że to się raczej nie udaje, kiedy ma się takiego lidera, jak Kaczyński. Jest on wyjątkowo wyczulony na punkcie swojej dominacji i wszystkiemu, co jej zagraża. Zawsze wietrzy, że ktoś mu będzie chciał zabrać partię, a ponieważ jest coraz starszy, to jego nieufność jest coraz większa, bo zdaje sobie sprawę, że fizycznie nie daje już rady, ale jeszcze absolutnie nie zamierza się nigdzie wycofywać, i stąd robi się coraz bardziej despotyczny i skłonny do działań bardzo radykalnych.

Morawiecki w PiS-ie pojawił się w 2016 roku. To jest właściwie w tej partii ciało obce, ale był w stanie wyprowadzić z PiS-u aż tyle osób.

Zadziwiające!

Tylko zapomina pani, że on prawie siedem lat miał najbardziej, powiedziałbym, stołkodajne stanowisko – był premierem. Niezależnie od tego, że Kaczyński musiał wszystko zatwierdzać, to tak naprawdę Kaczyński zatwierdzał jakiś ułamek decyzji Morawieckiego, także personalnych, bo nie był w stanie zatwierdzać wszystkiego. Nie przypadkiem kiedyś chwalił Morawieckiego, że jest cyborgiem, że jest zdolny pracować gigantyczną ilość godzin. Właśnie w czasie tych godzin Morawiecki budował swoją formację wewnątrz PiS-u. Dlatego między innymi politycy tak walczą o stanowisko premiera – tak było od lat 90., bo najwięcej władzy w Polsce ma człowiek, który jest premierem.

Trochę zastanawiające jest to, o czym Pan już wspomniał – ten bardzo mocny skręt Kaczyńskiego w stronę radykalną, konserwatywną i walka z Konfederacjami, z Braunem, o wyborców. Ta walka i ta strategia póki co nie przynosi efektów.

Nie przynosi, dlatego że PiS ma obciążenia związane z ośmioma latami swoich rządów. Nie może być równie wiarygodny w stosunku do polityków Konfederacji czy Korony w krytyce na przykład Unii Europejskiej, Zielonego Ładu, skoro jego współautorem był komisarz Wojciechowski. Ludzie wiedzą, że jednak był taki człowiek, zachwalał Zielony Ład, i teraz nagle wyskakuje Czarnek i mówi: „Trzeba odrzucić ETS2, i w ogóle ETS". Polacy interesujący się polityką rozumieją, że to jest kit. W tym sensie wiarygodność Czarnka jest mniejsza niż Bosaka, Mentzena czy Brauna. Na tym polega problem tego skrętu w prawo, że tu nie wystarczy mówić coś zupełnie innego niż się mówiło trzy czy cztery lata temu, tylko jeszcze trzeba mieć tych, którzy w to uwierzą. Dlatego nie dziwię się, że Czarnkowi nie wychodzi, bo on poza wszystkim jest, powiedziałbym, taką karykaturą Kaczyńskiego. On ma wszystkie cechy radykalizmu Kaczyńskiego bez jakichkolwiek jego pozytywnych, bardziej umiarkowanych sformułowań. I wychodzi to dość groteskowo, zwłaszcza w kontekście właśnie tych ośmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy. Poza tym jest jeszcze kwestia pokoleniowa. Ludzie nie lubią namaszczanych liderów, chcą liderów autentycznych. Młodzi prawicowi wyborcy mają poczucie, że Braun, Mentzen czy Bosak to autentyczni liderzy, za którymi nikt nie stoi. Natomiast nad Czarnkiem stoi Kaczyński. Mentzen stale Czarnka wyśmiewa jako kukłę Kaczyńskiego. I to też Czarnkowi nie pomaga, bo on nic nie może tak naprawdę. Widzą to prawicowi wyborcy. W związku z tym nie wróżę szans PiS-owi, przynajmniej w najbliższym czasie, na odzyskiwanie tych wyborców, których stracili na rzecz Konfederacji czy Korony.

Panie profesorze, to sześć, siedem procent poparcia, które dzisiaj ma klub parlamentarny Rozwój Plus, to dużo czy mało na start?

To jest dużo na start, bo każdy, kto na start dostaje poparcie, które wyraźnie przekracza pięcioprocentowy próg wyborczy – ma sześć, siedem, czy nawet osiem procent – może mówić o sukcesie. Tylko że to nie jest nic nowego. Generalnie polski rynek polityczny jest głodny nowych ofert i bardzo często nowa oferta dostaje od razu spory kredyt zaufania, zwłaszcza jak ma rozpoznawalnego lidera. Bo na przykład Nowej Polsce senatorów Frankiewicza i Tyszkiewicza, która wystartowała rok temu, nie poszło z prostego powodu: nie mieli rozpoznawalnego lidera, bo kto słyszał o senatorze Tyszkiewiczu czy Frankiewiczu? Ludzie z ich regionów albo jakoś potwornie zainteresowani polityką, czyli jakiś jeden procent społeczeństwa. Dlatego Nowa Polska nie zaistniała w sondażach, chociaż istnieje od roku. Natomiast Morawiecki jest rozpoznawalny powszechnie jako były premier, i to wieloletni. Więc Rozwój Plus ma lidera, który ciągnie za sobą część struktur partii, tylko jeszcze nie wiemy dokładnie, jak dużo. Morawiecki miał dogodny punkt startu. Natomiast zobaczymy, jak te sondaże będą wyglądały jesienią, a zwłaszcza wiosną przyszłego roku, bo to będzie decydujące. W tej chwili jest po prostu za wcześnie na oceny. Wszystkie media huczą o rozłamie, wszyscy o tym mówią. Ale zapewniam panią, że jesienią nawet ułamka tego zainteresowania mediów Rozwojem Plus nie będzie, który jest teraz. To jest główne wydarzenie w sezonie letnim, ale jesienią pojawi się mnóstwo innych historii. I nagle Morawiecki będzie miał problem, bo nie będą za nim biegać dziennikarze z dziesiątkami kamer. Wtedy okaże się, jak on i jego ludzie sobie radzą. Tak naprawdę prawdziwy egzamin dla Morawieckiego zacznie się od września.

Nie potrafię przewidzieć, czy Mateusz Morawiecki i jego stowarzyszenie będzie w następnym Sejmie. To dzisiaj wróżenie z fusów.

ANTONI DUDEK,
politolog

Zakładamy, że Morawiecki dotrwa do wyborów, że pójdzie do nich jako partia Rozwój Plus. Komu bardziej zaszkodzi: prawicy czy koalicji rządzącej?

Dziś widać wyraźnie, że odbiera głosy PiS-owi. Natomiast to nie zmienia faktu, że jeżeli Morawieckiemu uda się pozyskać jakichś innych jeszcze wyborców, niepisowskich i niekoniecznie prawicowych, bo jest to mityczne centrum, to może być różnie. Ono nie jest mityczne, bo ma rzeczywiście od dziesięciu do piętnastu procent poparcia. A więc, jeżeli mu się uda wyrwać cokolwiek z tego i wejdzie do następnego Sejmu, to na pewno na dziś jemu i jego ludziom jest bliżej do prawicy niż do drugiej strony sceny politycznej. Czyli może się zrealizować to, co niektórzy uważają za tajny plan Kaczyńskiego, mówiąc, że to jedna wielka ustawka i maskarada, której celem jest to, żeby później Morawiecki doniósł te trzydzieści mandatów czy czterdzieści, których by brakowało prawicowej koalicji do większości i odsunięcia Tuska od władzy. Problem w tym, że dzisiaj te mandaty będzie głównie donosił Braun. I to jest pytanie o Brauna i rolę Brauna w tej koalicji, bo pozycja sondażowa Brauna jest dużo pewniejsza niż Morawieckiego. On ma osiem, dziesięć procent poparcia w sondażach już od wielu miesięcy i jak się to nie zmieni wiosną przyszłego roku, to Braun będzie niemal na pewno w następnym Sejmie. Natomiast czy będzie tam Morawiecki, to będzie się ważyło jeszcze przez wiele miesięcy. I z tego punktu widzenia można też mówić, że Morawiecki raczej wbił – nie tylko Kaczyńskiemu, ale całej polskiej prawicy – nóż w plecy, bo jeżeli nie wejdzie do następnego Sejmu, dostaje cztery procent poparcia, to siłą rzeczy odbierze w większości głosy prawicy. Który z tych scenariuszy jest prawdziwszy, czas pokaże. Nie potrafię przewidzieć, czy on będzie w następnym Sejmie – mówię o Morawieckim i jego stowarzyszeniu – czy nie. To dzisiaj wróżenie z fusów.

Ale w żaden tajny plan Kaczyńskiego Pan nie wierzy?

Nie, zdecydowanie nie. Nie da się wyreżyserować wydarzenia, które widzieliśmy w lipcu, czyli rozwodu Kaczyńskiego z Morawieckim, dlatego że tu działają emocje, autentyczne emocje dziesiątek, setek ludzi. Jak ktoś obserwuje polską politykę i mnóstwo tego typu rozłamów, to wie, że żaden nie był wyreżyserowany. Natomiast oczywiście zdarzały się powroty, zazwyczaj jednak po kilkuletniej przerwie. Tu najsłynniejszy jest oczywiście powrót syna marnotrawnego Ziobry po tym, jak próbował się oddzielić i stworzyć to drugie płuco. Zresztą, nawiasem mówiąc, to Jacek Kurski wymyślił słynne drugie płuco prawicy, którym miała być po 2011 roku, kiedy doszło do tego rozłamu, Solidarna Polska. Ale jak ich przeczołgało w wyborach europejskich w 2014 roku i Ziobro zobaczył, że za chwilę nie będzie go w polityce, to poszedł do Canossy i wybłagał u prezesa przed wyborami w 2015 roku miejsca dla swoich ludzi na listach wyborczych. I zaczął się na nowo powrót ziobrystów do PiS-u, który trwał w sensie organizacyjnym kolejną dekadę. Z Morawieckim hipotetycznie może być podobnie, tylko że on już będzie wracał do PiS-u nie pod przewodnictwem Kaczyńskiego. Nie wierzę, że oni się dogadają zaraz po wyborach, a tymbardziej przed wyborami. Przed wyborami to już w ogóle nie miałoby, moim zdaniem, sensu, bo to będzie po prostu konsumowanie tych samych wyborców. Dlatego że jeżeli jacyś wyborcy inni niż pisowscy przyjdą do Morawieckiego przed wyborami, to uciekną od niego w dniu, w którym powie: „A teraz robię wspólną listę z Kaczyńskim".

Pozycja Jarosława Kaczyńskiego jest teraz słabsza niż kiedyś, prawda?

Zdecydowanie tak.

eprasa.pl 91b9e96d45

GOSPODARKA

Warszawska giełda z rekordami wszechczasów. Nie widać końca hossy

Najważniejsze indeksy warszawskiej giełdy w tym tygodniu ustanowiły swoje rekordy wszechczasów. Indeks WIG20 notujący największe spółki parkietu zanotował swój najwyższy wynik - pobijając rekord ustanowiony w 2007 r.

Dorota Mariańska

Początek sierpnia to moment rekordowych notowań na warszawskim parkiecie. W czwartek indeks największych spółek znajdował się powyżej 4 tys. punktów, a szeroki indeks WIG był powyżej 15 tys. punktów. Nigdy wcześniej w historii Giełdy Papierów Wartościowych te parametry nie były n a tak wysokich poziomach.

Bicie historycznych notowań zaczęło się już na początku tygodnia. Indeks WIG na początku wtorkowych notowań wynosił 148 940,69 pkt., a sesję zakończył na poziomie 151485,19 pkt. Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie podała w komunikacie, że poziom 150 tys. punktów na zamknięciu sesji WIG przekroczył po raz pierwszy w historii.

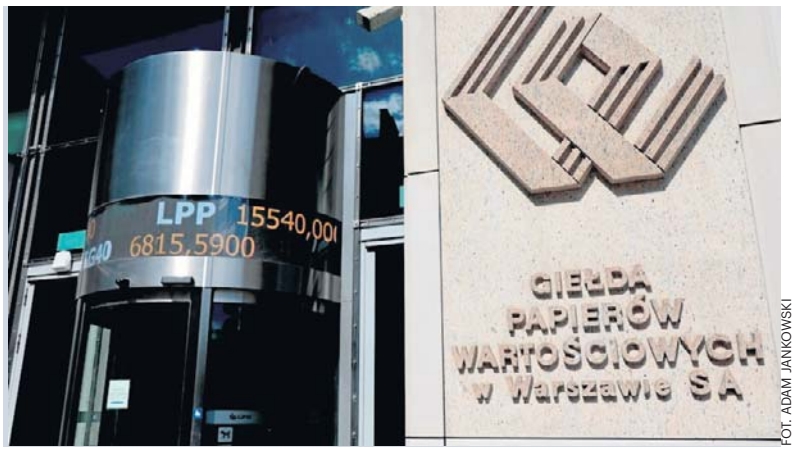

FOT. ADAM JANKOWSKI

Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie jeszcze nigdy w swej historii nie była tak wysoko wyceniana jak w tym tygodniu

Na nowe rekordy warszawskiej giełdy zwrócił uwagę minister finansów i gospodarki Andrzej Domański. – Od 15 października 2023: WIG +125 proc., WIG20 +102 proc. To efekt silnej gospodarki, poprawy zarządzania w spółkach z udziałem Skarbu Państwa i rosnącego zaufania inwestorów do Polski – napisał minister w mediach społecznościowych.

Przedstawiciele GPW podali, że „zaledwie kilka tygodni wcześniej indeks pokonał poziom 140 000 punktów, a dziś dołożył do swojego dorobku kolejny ważny wynik".

Za historycznymi poziomami indeksów - jak wskazali - stoją lata rozwoju rynku, rosnąca aktywność emitentów i uczestników rynku. – Dzisiejsza sesja zapisuje kolejny ważny rozdział w historii warszawskiej Giełdy – zauważyła GPW.

Nowe rekordy odnotowały również pozostałe kluczowe indeksy GPW. WIG20 zakończył czwartkową sesję na poziomie 4022,16 pkt., mWIG40 wzrósł do 10 536,89 pkt. Z kolei obroty na sesji przekroczyły 2,6 mld zł.

GPW wyliczyła, że w tym roku WIG zyskał 29,21 proc., a WIG20 25,52 proc.; mWIG40 wzrósł o 28,86 proc., a sWIG80 o 6,01 proc.

Warszawski Indeks Giełdowy, czyli WIG, to najstarszy indeks, obliczany od 16 kwietnia 1991 roku. Pierwsza wartość tego wskaźnika wynosiła 1000 pkt. Obecnie WIG obejmuje wszystkie spółki notowane na głównym rynku GPW, które spełnią bazowe kryteria uczestnictwa w indeksach - m.in. liczba akcji w wolnym obrocie większa od 10 proc., wartość akcji w wolnym obrocie większa od 1 mln euro. Natomiast WIG20 skupia 20 największych spółek polskiego parkietu. Indeks ten ruszył 16 kwietnia 1994 roku, a jego pierwsza wartość wynosiła również 1000 pkt.

PAP

REKLAMA 0011561856

SOLANKI
Uzdrowisko Inowrocław

Twój Czas na zdrowie

Zakwaterowanie
3 posiłki dziennie
w formie bufetu szwedzkiego
Konsultacja lekarska
4 zabiegi dziennie
(oprócz niedziel i dni świątecznych)
90 min. dziennie w Strefie Relaksu
(sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)
Voucher do Integracja Cafe



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320
medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl
www.solanki.pl

eprasa.pl 91b9e96d45

KOŚCIÓŁ

Co papież Leon XIV sądzi o polityce Stanów Zjednoczonych

W słowach papieża Leona XIV: „Kocham Amerykę za wolność i otwartość na ludzi" pobrzmiewa autentyczna duma z bycia Amerykaninem

Mariusz Grabowski

– Myślę o sobie raczej jako o papieżu, który tylko przypadkiem jest z Chicago – powiedział niedawno Leon XIV w rozmowie z NBC. – Żywię wielką miłość do Ameryki – zapewnił. Ale jego relacje z ojczyzną, a zwłaszcza z jej prezydentem Donaldem Trumpem, nierzadko bywają trudne.



FOT. PAP/EPA/VATICAN MEDIA HANDOUT

Na linii Donald Trump – Leon XIV można wręcz mówić o otwartym konflikcie

Co z imigrantami?

Komentatorzy szybko doszukali się w słowach głowy Kościoła najrozmaitszych emocji, w tym choćby sympatii dla liberalizmu. Leon XIV wskazał bowiem, że ceni w Ameryce reprezentowane przez nią zasady: poczucie wolności i możliwości oraz otwartość na przybyszów. Przypomniał, że Stany Zjednoczone przez pokolenia zapraszały ludzi z całego świata, by stawali się częścią kraju.

– Pochodzę z rodziny imigrantów od strony moich dziadków. Wśród przodków od strony mojej matki byli zarówno niewolnicy, jak i właściciele niewolników – mówił papież. Wskazał, że ta złożona historia jest historią rozwoju, a doświadczenie różnorodnych korzeni pozwala mu widzieć to jako część jednego z największych bogactw Stanów Zjednoczonych. Podkreślił, że nadal opowiada się za zasadami, które przez wiele lat stanowiły „część amerykańskiej tożsamości".

To o tyle znaczące, że kwestia emigracji jest jedną z tych, które dzielą Leona XIV, podobnie jak jego poprzednika, z dzisiejszą administracją. Np. w październiku 2025 r. papież, w czasie spotkania z biskupami z USA, mówił, że amerykańscy duchowni powinni „zdecydowanie zabierać głos" w sprawie tego, jak administracja Donalda Trumpa traktuje imigrantów w ramach zaostrzenia polityki imigracyjnej.

– Nasz Ojciec Święty jest bardzo osobiście zmartwiony tymi kwestiami – mówił wówczas w rozmowie z agencją Reutera biskup z El Paso Mark Seitz, który brał udział w spotkaniu. – Wyraził pragnienie, by Konferencja Episkopatu USA zajęła zdecydowane stanowisko w tej sprawie – dodawał hierarcha.

Wiadomo, że na spotkaniu przekazano papieżowi dziesiątki listów od imigrantów opisujących swoje lęki związane z obawą przed deportacją z USA.

Co z karą śmierci?

Ale i wcześniej Leon XIV dawał do zrozumienia, że antyimigracyjna polityka Trumpa jest w niezgodzie z nauczaniem Kościoła katolickiego i zasadą „pro-life". Podobnie jak poparcie dla kary śmierci. Tu głos papieża jest jeszcze bardziej zdecydowany.

O karze śmierci wypowiadał się wielokrotnie. Ostatnio w kwietniu tego roku, zwracając się w wideoprzesłaniu do uczestników spotkania na DePaul University, upamiętniającego 15. rocznicę zniesienia kary śmierci w stanie Illinois, Ojciec Święty przypomniał, że ochrona życia jest „fundamentem sprawiedliwego społeczeństwa, a Kościół uznaje karę śmierci za niedopuszczalną".

Ojciec Święty zaznaczył, że nawet najcięższe przestępstwa nie odbierają człowiekowi jego godności. Wskazał także, że współczesne systemy penitencjarne są w stanie skutecznie chronić społeczeństwo, nie pozbawiając skazanych „możliwości odkupienia". Jego słowa natychmiast skonfrontowano z faktami: kara śmierci w USA jest legalna w 27 z 50 stanów oraz na poziomie federalnym. O jej losach decydują przepisy lokalne poszczególnych terytoriów oraz Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych.

W katalogu spraw spornych na linii Watykan – Biały Dom jest też kwestia aborcji. W październiku 2025 r. Leon XIV po raz pierwszy tak dobitnie zabrał głos w tej sprawie. Stało się to po głośnej sprawie abp. Chicago Blase'a Cupicha (byłego bliskiego doradcy papieża Franciszka), który postanowił wręczyć nagrodę senatorowi z Illinois Dickowi Durbinowi za jego pracę na rzecz imigrantów. Zamiar wywołał sprzeciw wielu konserwatywnych biskupów amerykańskich; wpływowy demokratyczny polityk od lat walczy o „prawo" do aborcji.

– Ktoś, kto mówi: „Jestem przeciwny aborcji", ale zarazem jest za karą śmierci, nie jest tak naprawdę pro-life – zauważył papież, wskazując tym samym na ewidentną sprzeczność w postawie wielu amerykańskich katolików. Podobnie wyraził wątpliwość, czy da się pogodzić z obroną życia „nieludzkie traktowanie imigrantów w Stanach Zjednoczonych".

„Katolicy bezdomni"

Sprawa abp. Cupicha wykazała podziały w amerykańskim episkopacie. Co ciekawe, w związku z głosami krytycznymi, także ze strony grupy biskupów, chicagowski senator sam postanowił, że nie przyjmie nagrody za swoją działalność proimigracyjną.

Na wieść o tym abp Cupich wyraził ubolewanie, że polaryzacja w Stanach Zjednoczonych stworzyła sytuację, w której katolicy (jest ich dziś w Stanach prawie 60 mln) „czują się politycznie bezdomni", ponieważ ani Partia Republikańska, ani Partia Demokratyczna nie odzwierciedlają w pełni całego zakresu nauczania katolickiego.

Można powiedzieć, że Leon XIV znalazł się w sytuacji arbitra usiłującego pogodzić w kwestiach etycznych dwa zwaśnione skrzydła amerykańskich hierarchów.

Dochodzi do tego kwestia wojen toczonych przez Stany Zjednoczone. Papież ostro skrytykował działania Stanów w Wenezueli, a podczas spotkania z wiernymi na Placu Świętego Piotra w marcu wyraził solidarność z cywilami na Bliskim Wschodzie, którzy cierpią z powodu trwającego tam konfliktu, którego jedną ze stron są także Amerykanie. – Przemoc nigdy nie będzie mogła doprowadzić do sprawiedliwości, stabilności i pokoju, którego oczekują narody – zaznaczył Leon XIV.

Podobnie jest w przypadku wojny USA z Iranem. Gdy Donald Trump wystosował w stronę przywódców Iranu ultimatum, Leon XIV oświadczył, że groźby wobec całego narodu Iranu są „naprawdę niedopuszczalne", a ataki na infrastrukturę cywilną są wbrew prawu międzynarodowemu.

W kwietniu podczas rozmowy z dziennikarzami w Castel Gandolfo amerykański papież podkreślił, że wiele osób nazywa wprost wojnę z Iranem „niesprawiedliwą".

Na linii Trump – Leon XIV można wręcz mówić o otwartym konflikcie. Gdy w kwietniu 2026 r. z ust papieża padły słowa o „garstce tyranów", zostało to odbierane jako bezpośrednie uderzenie w prezydenta Stanów Zjednoczonych. Trump w odwecie nazwał papieża słabym i zarzucił mu liberalizm. Widać, że konflikt ma charakter nie tylko ideowy i polityczny, ale także osobisty.

Nawet wiceprezydent USA J. D. Vance, nawrócony katolik, stwierdził, że papież powinien być „bardziej ostrożny" w swoich wypowiedziach na temat teologii, a w innym miejscu zasugerował, że Leon XIV, pierwszy augustynianin na tronie papieskim, nie rozumie doktryny wojny sprawiedliwej.

Eskalacja sporu i sygnały pojednawcze

Jakie konsekwencje może mieć spór amerykańskiego prezydenta z amerykańskim papieżem? Komentatorzy wskazują, że jedną z możliwości odpowiedzi ze strony administracji Trumpa będą cięcia finansowań dla programów prowadzonych przez Kościół katolicki. Przedsmak tego mieliśmy już w Miami, gdzie administracja rządowa wstrzymała dotacje dla ośrodków tamtejszego Caritasu.

Inną niepokojącą możliwością jest rozbudzenie antykatolickich nastrojów w USA, które mają w tym kraju wielosetletnie tradycje. Rząd federalny teoretycznie mógłby też pozbawić Kościół katolicki zwolnienia z podatków, aczkolwiek jest to opcja, którą nazwać by można „atomową".

Jednocześnie w tym konflikcie pojawiają się sygnały o charakterze pojednawczym. Np. papież Leon XIV został wyróżniony Medalem Wolności przyznawanym przez amerykańskie Narodowe Centrum Konstytucyjne – taką informację 14 lipca 2026 r. podał Vatican News.

W ten sposób instytucja chce „uhonorować wkład Leona XIV w promowanie ideałów uchwalonej w 1791 r. Pierwszej Poprawki do Konstytucji USA, która gwarantuje fundamentalne wolności: religii, słowa, prasy, pokojowych zgromadzeń oraz petycji do rządu". Przyznanie papieżowi odznaczenia ma związek z obchodami 250-lecia założenia USA.

eprasa.pl 91b9e96d45

KRYMINOLOGIA

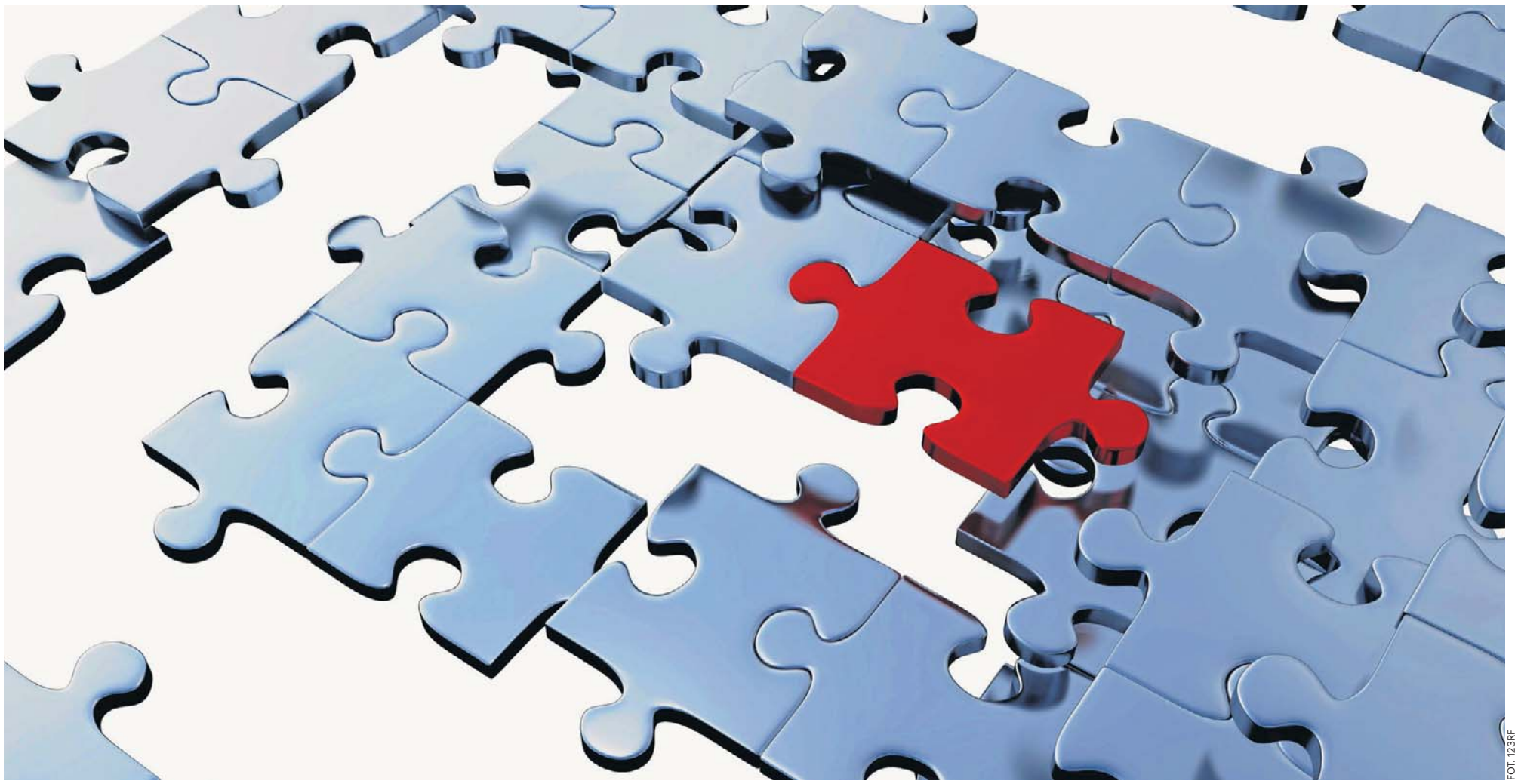

FOT. 123RF

Gdyby śledczy mieli dostęp do badań DNA wszystkich ludzi, właściwie nie byłoby niewyjaśnionych spraw

Kod DNA. Odcisk, który zawsze prowadzi do sprawcy

Zabójstwo Izy Strzałkowskiej było jedną z najgłośniejszych spraw kryminalnych ostatnich dekad. Jej rozwiązanie – to moment historyczny nie tylko dla polskich śledczych. Najprawdopodobniej drugi raz w Europie udało się schwytać sprawcę dzięki genealogii genetycznej

Dorota Kowalska

Tą sprawą żyją media od kilku tygodni. Po 15 latach zatrzymano zabójcę Izy Strzałkowskiej z Gdyni. Trudno się dziwić tym emocjom – po raz pierwszy w Polsce udało się ująć sprawcę dzięki genealogii genetycznej. To drugi taki przypadek w Europie, pierwszy miał miejsce w Szwecji.

Warto wrócić do tej historii. 19 października 2004 roku mieszkańcami szwedzkiego Linköping wstrząsnęło brutalne morderstwo 8-letniego Mohammeda Ammouriego i 56-letniej Anny-Leny Svensson. Mohammeda zaatakowano, gdy szedł do szkoły, Anna-Lena próbowała interweniować, przeszkodzić sprawcy, ale ona również została zaatakowana. Oboje, chłopca i kobietę, w brutalny sposób zadźgano.

Na miejscu zabezpieczono DNA sprawcy, było na narzędziu zbrodni i czapce, którą pewnie zgubił na ulicy. Ale to nie posunęło sprawy naprzód. Nie było motywu, nie było innych świadków. Śledztwo utknęło na kolejnych 16 lat.

Przełom nastąpił w czerwcu 2020 roku. Wtedy genealog Peter Sjölund użył metody wykorzystującej bazy danych DNA. Znalazł osoby spokrewnione z zabójcą i tak doprowadził śledczych do Daniela Nyqvista. Aresztowany w wieku 37 lat Nyqvist przyznał się do morderstw. Tłumaczył, że jakieś głosy w jego głowie kazały mu kogoś zabić.

Na podstawie tej historii nakręcono szwedzki serial kryminalny „Przełom", historię opisali w swojej książce dziennikarka Anna Bodin i wspomniany już wcześniej genealog Peter Sjölund. Ich „The Breakthrough: How the Genealogist Solved the Double Murder in Linköping" („Przełom: Jak genealog rozwiązał podwójne morderstwo w Linköping") stała się bestselerem. Serial miał swoją premierę na Netflixie 7 stycznia 2025 roku i też już po kilkunastu godzinach był na pierwszym miejscu TOP 10 najchętniej oglądanych tytułów w Polsce na tej platformie.

„Chociaż to fikcyjny serial dramatyczny o zbrodni, to ma on przede wszystkim przedstawić ludzką tragedię. To historia o współczuciu i trosce o siebie nawzajem, które są potrzebne, aby iść dalej, gdy dzieją się straszne rzeczy" – mówiła reżyserka serialu, Lisa Siwe, podkreślając, że „Przełom" to coś więcej niż tylko dramat kryminalny.

Tożsamość sprawcy

Czy o pracy śledczych przy sprawie Izy Strzałkowskiej też powstanie książka albo trzymający w napięciu film kryminalny? Niewykluczone. Jest w tej historii wszystko: dramat, emocje, ciężka praca policjantów i zaskakujące zwroty akcji.

23 sierpnia 2011 roku 13-letnia Iza wyszła z domu, żeby odprowadzić koleżankę na pobliski przystanek w gdyńskiej dzielnicy Dąbrowa. Wtedy po raz ostatni widziała się z bliskimi. Długo nie wracała, więc rodzina zaczęła jej szukać. Ciało Izy, jeszcze tego samego dnia, znaleziono obok ścieżki, którą miała wrócić do siebie. Dziewczynka została zgwałcona i zamordowana.

Michał Gabriel-Węglowski, gdański prokurator, zajął się sprawą 9 lat po dokonaniu zbrodni. Wiedział, że nie będzie łatwo. Miał jednak skarb: DNA sprawcy.

– Krąg potencjalnych sprawców można było liczyć w tysiącach. To były ostatnie dni sierpnia, koniec wakacji, więc jeszcze spory ruch w lasach przy osiedlu na gdyńskiej Dąbrowie, gdzie doszło do zabójstwa. Kręciły się tam wtedy przeróżne osoby. W samej dzielnicy w 2011 roku było zameldowanych ponad 14,5 tys. osób – mówił Gabriel-Węglowski w rozmowie z Wirtualną Polską.

Do tego trzeba było dodać ludzi pracujących w pobliskich firmach, mieszkańców sąsiednich miejscowości. W pierwszym śledztwie, które trwało trzy lata, pobrali DNA od 685 osób. Nic.

I w tej historii, jak w tej ze Szwecji, nastąpił przełom. Podczas wewnętrznej konferencji policyjno-prokuratorskiej dwie policjantki z Łodzi opowiadały o metodzie genealogii genetycznej. Stosunkowo nowej, ale stosowanej na świecie – to dzięki niej genealog Peter Sjölund trafił na Daniela Nyqvista, zabójcę z Linköping.

Metoda opiera się na szukaniu pokrewieństwa pomiędzy osobą, od której pochodzi pobrany materiał genetyczny – w tych wypadkach sprawcach zabójstw, a ludźmi, któ-

eprasa.pl 91b9e96d45

rzy zostawiają swoje DNA w bazach genealogicznych.

– Porównuje się profil osoby A z profilem osoby B, obliczając jednostki zbieżności, tzw. centymorgany. Im wyższa ich liczba, tym większe prawdopodobieństwo, że dwie osoby są blisko spokrewnione w naszych życiowych relacjach – tłumaczył prokurator w WP.

W przypadku zabójstwa Izy Strzałkowskiej domniemany morderca miał zbieżność z kilkunastoma osobami z amerykańskich baz DNA, pewnie miały polskie korzenie. Po ich zidentyfikowaniu biegli stworzyli drzewo genealogiczne, które miało połączyć wytypowanych ze sprawcą.

– Najstarsza osoba na tym drzewie urodziła się w czasie rewolucji francuskiej, w 1790 roku. Cofnęli się więc o niemal 250 lat. Na tym ogromnym drzewie, wokół kilkunastu wyjściowych osób, znalazło się w sumie około 10 tysięcy nazwisk – powiedział Michał Gabriel-Węglowski.

Specjaliści korzystali z państwowych archiwów i dokumentów urzędów stanu cywilnego. Łącząc te informacje z fenotypowaniem, które pozwoliło przypisać prawdopodobne cechy mordercy wskazano na jedną osobę Michała S.

Michał Gabriel-Węglowski zlecił jeszcze dwie niezależne ekspertyzy, nie chciał się pomylić, zatrzymać niewinną osobę. Obie były identyczne, to on – 37-letni dzisiaj Michał S., sąsiad ofiary.

Przyznał się do zbrodni

Mógł widywać Izę. Mieszkał w pobliżu. Może nawet mijali się na ulicy, bywali w tych samych sklepach. Od morderstwa minęło 15 lat. Michał S. prowadził ustatkowane, normalne życie. Skończył studia, miał pracę, żonę, dwójkę dzieci.

Ponoć prezentował się jako konserwatywny katolik. Chodził na występy Arki Noego, jeździł na Ogólnopolskie Spotkania Młodych Lednica – największy coroczny zjazd katolickiej młodzieży z Polski i zagranicy.

– Nie jesteśmy w stanie uwierzyć, że to właśnie on mógł dopuścić się takiej zbrodni – mówili jego znajomi ze studiów.

Zapamiętali Michała S. jako osobę wycofaną, nieporadną życiowo, niezbyt bystrą, ale pracowitą. Mężczyzna miał problemy zdrowotne. Praktycznie nie słyszał na jedno ucho, na drugie – jedynie w ograniczonym stopniu.

Kolegom ze studiów rzadko opowiadał o swoim życiu rodzinnym, ale był pod wyjątkowo troskliwą opieką matki i siostry. Regularnie do niego dzwoniły, pytały o najprostsze codzienne sprawy, czy zrobił zakupy, pranie, czy ugotował obiad.

Nie był ani zabawowy, ani agresywny. Nie chodził zbyt często na imprezy, wolał w tym czasie słuchać muzyki. Lepiej czuł się w towarzystwo kobiet, ale te relacje miały koleżeński charakter.

Kolega 37-latka, do którego dotarł „Fakt", wspominał, że po wakacjach 2011 roku, gdy doszło do zabójstwa Izy, Michał S. wyraźnie się zmienił. Zaczął intensywnie biegać, choć początkowo często wracał ze studiów w Bydgoszczy do rodzinnego domu w Gdyni, z czasem robił to coraz rzadziej. Stał się bardziej wrażliwy emocjonalnie, źle znosił krytykę. Kolega przywoływał sytuację ze studiów, kiedy Michał S. poprosił wykładowcę o unieważnienie egzaminu, twierdząc, że część studentów wcześniej poznała pytania. Szybko ustalili, kto był donosicielem, doszło do konfrontacji, podczas której Michał S. miał się rozpłakać. Był aktywny na studenckich grupach internetowych, ale po zabójstwie Izy rzadziej wchodził do sieci. Z czasem to się zmieniło.

Po postawieniu mu zarzutu zabójstwa internauci odnaleźli jego profil w mediach społecznościowych. Wynika z niego, że w 2018 roku, siedem lat po zbrodni, ożenił się. Publikował zdjęcia z życia rodzinnego.

Zatrzymany już po godzinie miał przyznać się do zabójstwa i powiedzieć śledczym, że domyśla się, czemu go ujęto. Gryzły go wyrzuty sumienia?

– Jeśli w tak poważnej sprawie człowiek niemal od razu się przyznaje, to znak, że ta sprawa w nim tkwiła. Nie ma dymu bez ognia – stwierdził ¬ Michał Gabriel-Węglowski.

Genealogia w sukurs kryminalistyce

Prawda jest taka, że pętla wokół przestępców mocno się zaciska. Dzisiaj żaden z nich, nawet jeśli przez lata pozostawał nieuchwytny, nie może czuć się bezpiecznie. Także dzięki genealogii. Miliony Amerykanów wysyłało do prywatnych firm swoje DNA, żeby dowiedzieć się czegoś o swojej przeszłości i tak, trochę nieświadomie, doprowadzili do przełomu w kryminalistyce. Takich firm zbierających DNA jest coraz więcej, na całym zresztą świecie. Dzisiaj anonimowemu śladowi na miejscu przestępstwa można przypisać imię i nazwisko – bo do sprawcy można dojść także poprzez jego krewnych. W każdym razie śledczym dzięki publicznym bazom danych DNA udało się już zidentyfikować wielu morderców, gwałcicieli, przestępców.

Jedną z najsłynniejszych spraw, w której kluczową rolę odegrały komercyjne bazy danych DNA, jest ta seryjnego mordercy znanego jako Golden State Killer.

Golden State Killer terroryzował Kalifornię na przełomie lat 70. i 80., miał dokonać 100 włamań, 50 gwałtów i przynajmniej 13 morderstw. Całe dekady pozostawał nieuchwytny. Po latach, a dokładnie w 2016 roku agenci FBI wznowili poszukiwania przestępcy i wyznaczyli nagrodę w wysokości 50 tys. dolarów za informacje, które mogłyby przyczynić się do jego złapania. Dwa lata później ogłosili, że wiedzą, kto jest mordercą i gwałcicielem z Kalifornii, a rozwiązali tę zagadkę, korzystając z darmowej bazy danych GEDmetch. Gdy policja umieściła w niej próbki DNA Golden State Killera, znalazła 10 do 20 jego dalekich krewnych. Na tej podstawie stworzono drzewo genealogiczne i wytypowano dwóch podejrzanych. Jeden z nich został wyeliminowany w toku śledztwa, został tylko Joseph James DeAngelo. Pobrano próbki DNA z klamki jego samochodu i chusteczki do nosa znalezionej w koszu na śmieci. Pasowały. 72-letni DeAngelo usiadł na ławie oskarżonych, oskarżono go o osiem morderstw pierwszego stopnia i trzynaście prób uprowadzenia.

Inne śledztwo, które pewnie przejdzie do historii kryminalistyki, to historia sprzed ponad 50 lat. 15 lutego 1974 roku 25-letnia studentka Mary K. Schlais została znaleziona przy drodze w niewielkim miasteczku Spring Brook w Wisconsin. Została kilkakrotnie dźgnięta nożem. Ostatnio widziano kobietę, kiedy jechała autostopem do Chicago. Jedynym tropem dla śledczych była czapka znaleziona na miejscu zbrodni, a na niej włosy. Detektywi sprawdzali różne hipotezy, przesłuchiwali świadków – nic.

Wiele lat później, biuro szeryfa hrabstwa Dunn nawiązało współpracę z genealogami genetycznymi z Uniwersytetu Ramapo w New Jersey. Śledczy wysłali im włosy znalezione na czapce. Naukowcy wygenerowali z nich DNA, potem przeanalizowali drzewo genealogiczne na popularnych witrynach genealogicznych i przekazano śledczym nazwiska krewnych podejrzanego. Było to o tyle trudne, że sprawca był adoptowanym dzieckiem, co komplikowało sprawę, ale udało się. Nauka, a konkretnie genealogia doprowadziła śledczych do 84-letniego Jona Millera w Minnesocie. Miller przyznał, że 50 lat wcześniej zabrał Mary, która łapała autostop do samochodu. Chciał uprawiać z nią seks, a kiedy odmówiła, zabił ją nożem.

Tożsamość ofiary

Genealogia pomaga dzisiaj ustalić nie tylko dane sprawcy, ale także ofiary.

Trzy lata temu głośno było o najstarszej nierozwiązanej sprawie w Filadelfii w USA, chodziło o słynną historię „chłopca z pudełka". Ciało malca zostało znalezione w kartonowym pudełku 25 lutego 1957 roku. Było nagie, owinięte w koc, pokryte siniakami i ranami. Wiek chłopca oceniono na cztery do sześciu lat. Wyglądał na niedożywionego. Miał krótkie, jasne, zmierzwione włosy i niebieskie oczy. Śledczy nie mieli wątpliwości, że dziecko musiało być maltretowane, a potem pobite na śmierć.

Plakaty ze zdjęciem chłopca rozwieszono w całej Filadelfii. Cisza. Nikt nie znał tego dziecka, nikt go nie szukał.

Pojawiło się szereg teorii na temat śmierci malca. Policja liczyła, że ktoś zgłosi zaginięcie, jednak nic takiego się nie stało. Mimo zakrojonego na szeroką skalę śledztwa, nie udało się ustalić ani tożsamości chłopca, ani też tego, kto mógł stać za jego śmiercią. „Chłopiec w pudełku" spoczął na filadelfijskim cmentarzu, na jego grobie napisano jedynie: „Niebiański Ojcze pobłogosław tego Nieznanego Chłopca".

Śledczy się nie poddawali, sprawdzali dziesiątki tropów. Przeprowadzano ekshumację 4-latka. Dochodzenia nigdy nie zawieszono. Wreszcie po sześćdziesięciu pięciu lat na podstawie badań DNA udało się ustalić tożsamość chłopca. To Joseph Augustus Zarelli, urodzony 13 stycznia w 1953 roku.

– Nie jest już chłopcem z pudełka. Ma imię – oświadczył William Fleisher z grupy dochodzeniowej.

Wiadomo, że oboje rodzice Josepha zmarli, żyje natomiast jego rodzeństwo. Rodzina 4-latka mieszka w zachodniej Filadelfii. Policjanci mają nadzieję, że teraz śledztwo ruszy do przodu. Wiadomość o tożsamości malca została podana do wiadomości publicznej, może więc zgłosi się ktoś, kto wie coś o sprawie, coś słyszał, zauważył. Trzeba ustalić, kto zabił to dziecko.

Albo inna historia: na początku 2023 roku policjanci z zespołu badającego tzw. cold cases, czyli niewyjaśnione sprawy sprzed lat, ustalili tożsamość kobiety, którą zamordowano w 1995 roku.

– W ciągu 27 lat funkcjonariusze, którzy obecnie są już na emeryturze, a następnie także nasz zespół zajmujący się rozwiązywaniem „cold cases", pracowali, by ustalić tożsamość ofiary. I to, kto jest sprawcą morderstwa – tłumaczył Pat Withrow, szeryf kalifornijskiego hrabstwa San Joaquin.

Ofiara została zidentyfikowana jako Amanda Lynn Schumann Deza. W momencie śmierci kobieta miała 29 lat. Była matką trojga dzieci, z mężem pozostawała w separacji.

Jej ciało w marcu 1995 roku zostało odnalezione w lodówce porzuconej w kanale irygacyjnym w miejscowości Stockton w Kalifornii. Zwłoki znajdowały się w stanie rozkładu. Wówczas nie udało się ustalić tożsamości ofiary, a śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Przełom nastąpił dopiero po niemal trzech dekadach, gdy sprawą zajął się utworzony przez Biuro Szeryfa Hrabstwa San Joaquin zespół badający nierozwiązane zagadki kryminalne sprzed lat. Jak doszło do przełomu? Otóż specjaliści od analizy DNA z laboratorium Othram z Teksasu, z którym współpracowali śledczy, stworzyli tropy genetyczne prowadzące do kobiet mogących być spokrewnionymi z ofiarą. Analiza dostarczonych przez nie próbek materiału genetycznego wykazała, że zwłoki należały do Dezy.

Choć tożsamość zamordowanej kobiety została ustalona, nadal nie wiadomo, kto odpowiada za tę zbrodnię.

Dzięki badaniom DNA udało się zidentyfikować także inną kobietę, którą w 1978 roku znaleziono martwą w stanie Massachusetts. Patricia Ann Tucker, wówczas 28-letnia, przez dziesięciolecia była znana jako „Granby Girl" od nazwy miasteczka, w którym znaleziono jej ciało. Kobieta została zastrzelona i pochowana w bezimiennym grobie. Sekcja zwłok wykazała, że ofiara miała od 19 do 27 lat. Jej tożsamość przez lata pozostawała tajemnicą.

W 2021 roku śledczy odnaleźli kobietę mieszkającą w Maryland, która prawdopodobnie była z nią spokrewniona. Krewna powiedziała policji, że jej ciotka zaginęła w latach 70. i podała dane dwóch synów kobiety. Jeden z nich, Matthew Dale potwierdził, że ofiara to jego matka, Patricia Tucker, która zaginęła w 1978 roku. Porównanie DNA mężczyzny z DNA kobiety dało 100 proc. zgodności w teście rodzic-dziecko.

„Przynajmniej teraz, po latach, mam kilka odpowiedzi. To dużo do przetworzenia, ale mam nadzieję, że zamknięcie jest już blisko" – napisał w oświadczeniu syn kobiety Matthew Dale.

– To postępy w kryminalistyce, a w szczególności w kryminalistycznej genealogii genetycznej, dostarczyły nadziei na identyfikację ofiary – powiedział pierwszy zastępca prokuratora okręgowego Northwestern Steven Gagne.

Śledztwo w sprawie śmierci wciąż jednak trwa. Zamordowana była żoną Geralda Colemana, który nigdy nie zgłosił jej zaginięcia. Był skazany pod zarzutem gwałtu i napaści, zmarł w więzieniu w 1996 roku i, jak twierdzi policja, mógł być „osobą zainteresowaną" morderstwem swojej żony.

W policyjnych archiwach na całym świecie leżą tysiące niewyjaśnionych spraw. W większości z nich zabezpieczono na miejscu zdarzenia DNA mordercy, gwałciciela, złoczyńcy. Dzisiaj można do niego trafić dzięki badaniom kodu genetycznego i genealogii. Dlaczego śledczy coraz częściej otwierają pudła z dowodami, na których ktoś lata temu napisał: „cold cases" i dochodzą do prawdy.

eprasa.pl 91b9e96d45

MOIM ZDANIEM

LESZEK WALIGÓRA
publicysta



Dobra, szatańska liczba

Pcha wózek, patrzy w telefon, nawet okiem na jezdnię nie rzuciła. I wjeżdża na przejście, pewnie nawet nie wie, że auta po obu stronach hamują. A dzidzia w wózku, patrzy mi w oczy ciumkając smoczka. 200 metrów dalej sytuacja się powtarza. Tym razem znów mama z oczami w telefonie, znów wózek, ale za to dzieci dwójka. Auta hamują, pani radośnie coś tam komuś odpisuje. Trzecie pasy. Tym razem tata, dryblas, ciągnie rezolutnego chłopczyka. Może 4 lata. Kręcone włoski, ciekawskie spojrzenie. Mierzy moją srebrną strzałę od kół po dach, pewnie fachowo zastanawia się nad pojemnością silnika i zużyciem bieżnika. Ojciec nie, ojciec tkwi w telefonie. Pal licho, że na przejściu. Gorzej, że w połowie pasów uznaje, że należy skrócić dystans i maszeruje dalej, ciągnąc za sobą malca, środkiem jezdni. Auta stoją. Nikt nie trąbi, choć każdy ma ochotę. Bo po co straszyć synka, kiedy ojciec gapa.

I nie, nie będzie to kolejna opowieść o ludziach, którym życie przepływa przez telefony, a prawdziwe ucieka. Jeszcze 10 lat temu to byłaby historia tragiczna. „Jednego dnia, w średniej wielkości mieście wojewódzkim, pod kołami samochodów zginęło troje dorosłych i czworo małych dzieci. Mimo prowadzonej reanimacji nie udało się przywrócić funkcji życiowych potrąconych osób. Funkcjonariusze policji stwierdzili, że piesi nie zachowali niezbędnej ostrożności i wtargnęli na jezdnię. W co najmniej jednym z przypadków kierowca przekroczył dozwoloną prędkość, a inny złamał przepisy, wyprzedzając na przejściu dla pieszych". Mniej więcej tak wyglądałaby notka sporządzona przez znudzonego wypadkami reportera. Bo ileż można.

Ale stało się coś dziwnego. Pierwsze półrocze tego roku upłynęło pod znakiem szatańskiej liczby 666. Tyle osób zginęło na polskich drogach w tym czasie. I jest to wiadomość... optymistyczna. Bo to był historycznie najmniejszy odsetek wypadków i ofiar śmiertelnych od czasu, gdy w Polsce zaczęto to mierzyć. Od roku 1997 do dziś, liczba wypadków spadła o ponad 69 procent. Liczba ofiar śmiertelnych w tamtym roku wyniosła, uwaga, 7311. Jeśli nawet te 666 trupów z pierwszej połowy tego roku, do 31 grudnia się podwoi... to będzie przecież 6 tysięcy osób zabitych mniej. Wiele tysięcy osób rannych mniej. Przełom!

W tym państwie z kartonu sklejonego szpagatem, gdy jeden rząd wywraca wszystko, co robi drugi, gdzie prezydent zawetuje każdy przepis rządu, zgoda dotycząca bezpieczeństwa okazuje się prawdziwa. I nie chodzi, jak widać, tylko o to militarne, a to jak najbardziej przyziemne. To długa historia dobrych decyzji – pewnie jakieś złe po drodze były również. Niedawno pisaliśmy o historii świateł ulicznych, które w Polsce pojawiły się dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym, tak samo jak na świecie, od razu drastycznie zmniejszając liczbę wypadków. Ale przez ostatnie 30 lat mieliśmy dużo więcej dobrych zmian. Obowiązkowe pasy w samochodach – tak, tak, kiedyś były nieobowiązkowe. Obowiązek jeżdżenia przez cały rok na światłach. Brak taryfy ulgowej dla kierowców jeżdżących na podwójnym gazie. Ograniczenie prędkości w terenach zabudowanych – tak, strefa tempo 30 to jest przy potrąceniu pieszego różnica między życiem i śmiercią. Fotoradary i odcinkowe pomiary prędkości. Konfiskata samochodów. I wreszcie przepis, który miał się nie udać. Bezwzględne pierwszeństwo pieszych na przejściu. Mieliśmy mieć festiwal wariatów za kółkiem. Owszem, czasem zdarzy się kretyn, który brak wyobraźni i umiejętności nadrabia prędkością. Dla takich ludzi jest sąd i więzienie, o ile sami się nie wyeliminują z puli genetycznej. Ale przepis o pierwszeństwie pieszych na pasach działa. Nawet jeśli jeden z drugim sami łamią przepisy, gapiąc się w ekraniki.

Z CZEGO JUTRO ...? 300. ARTYKUŁ Z TEGO CYKLU

ANDRZEJ SADOWSKI
Centrum im. Adama Smitha



Zasady programu dobrostanu, czyli „bogactwo obywateli, głupcze!"

Obecny system sprawowania władzy i organizacji działalności państwa nie jest w stanie zagwarantować obywatelom nawet fizycznego bezpieczeństwa, a z roku na rok utrudnia tworzenie dobrobytu powstającego wyłącznie z ich pracy i przedsiębiorczości. Miarą sprawczości systemu stały się prowokacje i represje urządzane przez jego biurokratyczny aparat wobec firm. Osłabianie i blokowanie naturalnych źródeł bogactwa narodu polskiego skomplikowanymi i podwyższanymi nieustannie podatkami oraz mnożeniem przepisów, nierzadko bez podstawy w prawie unijnym, stało się praktyką kolejnych rządów i parlamentów. Skrajne sformalizowanie działalności gospodarczej najmniejszych rozmiarów jak w przypadku SENT prowadziło do fizycznej likwidacji polskiej przedsiębiorczości.

Nawet długotrwała wojna tocząca się tuż za granicą państwa polskiego nie doprowadziła między ugrupowaniami zasiadającymi w parlamencie do konsensusu – na miarę coraz dramatyczniejszej powagi sytuacji wraz z kolejnymi wlatującymi na teren Polski pociskami manewrującymi – i racji stanu, co tylko potwierdza głęboką dysfunkcjonalność systemu sprawowania władzy, w którym doraźne partyjne interesy mają pierwszeństwo przed wielopokoleniowymi interesami obywateli. Bezpieczeństwo państwa zaczyna się od bezpieczeństwa gospodarczego jego obywateli, które wobec anarchizacji działań aparatu sądowniczego działającego na krawędzi chaosu od dawna nie jest chronione zwłaszcza przed nadużyciami władzy. W praktyce tzw. sądownictwo rozstrzyga spory w sposób urągający Międzynarodowemu Paktowi Praw Obywatelskich i Politycznych.

Wiarygodność instytucji państwa przy drapieżności ich poczynań wobec obywateli oceniana tylko przez pryzmat zachowań sądowej opricziny i w tzw. publicznej służbie zdrowia dawno przekroczyła kolejne punkty krytyczne. Traktowanie obywateli jawnie przedmiotowo i instrumentalnie, którzy dla aparatu władzy są przede wszystkim płatnikami składek i innych podatków prowadzi do odtworzenia podziału z czasów komunistycznego reżimu na „my i oni". Stan ten od dekad pogłębiają przepisy i praktyki władz traktowania polskich obywateli, a zwłaszcza przedsiębiorców zauważalnie gorzej niż obywateli obcych państw działających w Polsce.

Pierwszą z zasad Programu Społecznego Dobrostanu „Bogactwo obywateli, głupcze!" jest likwidacja dyskryminacji prawnej, podatkowej oraz w dostępie do usług publicznych polskich obywateli i przedsiębiorców. Jeżeli rządy przyznały przywileje obywatelom i firmom z innych państw, to te same należą się z mocy konstytucji obywatelom Polski.

Drugą z zasad jest uchwalanie tylko takiego prawa, które w udokumentowany sposób oszczędza czas i pieniądze obywateli. Najcenniejszym, a zarazem najbardziej marnowanym zasobem jest ich praca i czas. Rosnącymi podatkami i mnożonymi przepisami systematycznie niszczona jest moralna motywacja do pracy i przedsiębiorczości, które są ostoją rozwoju również w czasach AI. Trzecią z zasad jest objęcie konstytucyjną ochroną pracy i przedsiębiorczości obywateli Polski, które są prawdziwym źródłem bogactwa narodu polskiego. Programy społeczne nie mogą zastępować pracy i mają charakter wyłącznie interwencyjny. Dziś prowadzą do patologicznego klientelizmu politycznego finansowanego z nieustannego zwiększania redystrybucji bogactwa przez aparat.

Ostatnią z zasad jest zmiana obecnego ustroju na prawdziwie demokratyczny oddający obywatelom kontrolę nad władzą na wzór sprawdzonych rozwiązań Konfederacji Szwajcarskiej, w tym z korzystaniem na co dzień z instytucji referendum. Zmiana ordynacji wyborczej na większościową z jednomandatowymi okręgami wyborczymi utoruje zastąpienie dotychczasowej władzy sprawowanej w imieniu społeczeństwa władzą realizowaną w interesie obywateli.

Trwały rozwój, a nie tylko przelotnie dodatni, jest konsekwencją dobrego rządzenia oraz uczciwych i trwałych zasad. Skuteczność władzy interesu społecznego mierzy się skróconym czasem pracy potrzebnym obywatelowi na utrzymanie rodziny oraz tym, ile więcej z wypracowanego przez niego bogactwa pozostaje w jego kieszeni, a nie w budżecie państwa.

Obywatele potrzebują przywódców, którzy przestaną ich traktować jako źródło dochodów budżetowych, a zaczną traktować ich dobrostan jako miarę własnego sukcesu oraz trwałego miejsca dla siebie w historii narodu polskiego.

Andrzej Sadowski, założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku działającego od 16 września 1989 roku.

Wasyl Bodnar, ambsador Ukrainy w Polsce: Jesteśmy sąsiadami, mamy za sobą trudną historię. Obecny kryzys jest jednym z najpotężniejszych, gdyż rzutuje na wszystkie wymiary współpracy



FOT. AMBASADA URKAINY W WARSZAWIE

eprasa.pl 91b9e96d45

STOPKLATKA



FOT. PAP/EPA/TAMAS PURGER

↑

Motocykl z czasów II wojny światowej znaleziono na dnie Dunaju. Najlepszy dowód na to, jak niski jest stan wód w tej najdłuższej rzece Unii Europejskiej. Sytuacja o tyle krytyczna, że na Węgrzech zaczęto ograniczać pracę zakładów przemysłowych, brakuje wody dla chłodzenia elektrowni atomowej Pacs. A z falami upałów zmaga się cała Europa



FOT. GPW

↑

Warszawska giełda właśnie pobiła swój najstarszy ważny rekord. Indeks największych spółek WIG20 osiągnął poziom 3920,26 punktów - o niemal 3 pkt więcej niż rekord z 2007 r. Ciągle w górę idzie też główny indeks WIG, który przebił historyczne 15 tys. punktów. Cała GPW jest w tym roku rozpędzona jak lokomotywa - od stycznia urosła już o 30 proc.



FOT. SŁAWOMIR KOWALCZYK

→

Cerkiew Opieki Matki Bożej w Zubaczach z charakterystycznymi srebrnymi dachami. To piękne zdjęcie znalazło się wśród fotografii pokazywanych podczas wystawy Visio Mentis 2026 we Włoszech. Na tej wystawie zebrano twórców z krajów europejskich (trzech z Polski), którzy mają jeden cel: przywrócenia fotografii jej zdolności do podkreślania wagi miejsc i zdarzeń



FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

←

Bartłomiej Kubkowski przepłynął wpław Bałtyk ze Szwecji do Dziwnowa. Pokonanie dystansu 160 km zajęło mu 56 godzin. W tym czasie nie spał, nie odpoczywał, nie dotykał łodzi asekuracyjnej. Bałtyk przepłynął dopiero przy piątej próbie

eprasa.pl 91b9e96d45

POLITYKA

Tomczykiewicz: Polityka zawsze mnie interesowała, ale ojciec mnie do niej nie zachęcał. Wręcz przeciwnie

– Kiedy studiowałem prawo, chciałem wystartować do rady miejskiej. Ojciec bardzo stanowczo odradził mi ten pomysł. Powiedział, że najpierw mam skończyć studia, sprawdzić się na rynku. Dopiero później mogę myśleć o polityce – mówi Maciej Tomczykiewicz, poseł Koalicji Obywatelskiej, syn Tomasza Tomczykiewicza, byłego szefa klubu parlamentarnego Platformy Obywatelskiej

Agaton Koziński

Dwa razy kandydował Pan bezskutecznie do Sejmu. Dostał się Pan do niego dopiero w 2024 r. Jak podoba się Panu bycie posłem?

Na pewno jest ciekawie, choć sam Sejm nie był dla mnie wielkim zaskoczeniem. Ze względu na historię rodzinną wiedziałem mniej więcej, jak funkcjonuje od środka. Ojciec opowiadał o swojej pracy, rozmawiałem też z jego współpracownikami, więc miałem pewne wyobrażenie o tym miejscu.

Pana nieżyjący już ojciec Tomasz Tomczykiewicz był m.in. wiceministrem gospodarki i szefem klubu parlamentarnego Platformy. Często zabierał Pana do Sejmu?

Nie. Przez wszystkie jego pięć kadencji jako posła byłem w Sejmie może trzy razy.

Kiedy pierwszy raz był Pan w Sejmie?

W 2005 r., a więc na początku liceum. Towarzyszyłem ojcu przy kilka spotkaniach wtedy. Bardziej w domu obserwowałem politykę lokalną, o tym, jak to jest być posłem najwięcej dowiedziałem się od asystentów taty.

Pański ojciec był jedną z ważniejszych postaci Platformy Obywatelskiej w okresie rządów tej partii. Polityka była obecna w domu od zawsze?

Tak. Tata najpierw był radnym, potem burmistrzem Pszczyny, a w 2001 roku trafił do Sejmu. Ja miałem około pięciu lat, kiedy rozdawałem pierwsze ulotki wyborcze. Później najbardziej bolały mnie komentarze w internecie dotyczące rodziców. Jako dziecko wiedziałem, że wiele z tych rzeczy jest zwyczajnie nieprawdziwych, dlatego bardzo szybko nauczyłem się nie czytać komentarzy.

Nie miał Pan dość tego?

Nie, polityka zawsze mnie interesowała. Co ciekawe, ojciec nigdy nie zachęcał mnie ani siostry do wejścia do polityki. Wręcz przeciwnie.

Mówił, żeby zamiast polityki zająć się uczciwą pracą?

[śmiech] Dokładnie tak. Kiedy studiowałem prawo, chciałem wystartować do rady miejskiej. Ojciec bardzo stanowczo odradził mi ten pomysł. Powiedział, że najpierw mam skończyć studia, zdobyć zawód, otworzyć kancelarię i sprawdzić się na rynku. Dopiero później mogę myśleć o polityce. Uważał, że politycy, którzy nigdy nie wykonywali żadnego innego zawodu, często nie mają doświadczeń, które pomagają podejmować rozsądne decyzje. Jego zdaniem polityka nie powinna być pierwszym i jedynym zajęciem w życiu.

Po dwóch latach w Sejmie podziela pan tę opinię?

Na pewno długie przebywanie w polityce rzeczywiście niesie takie ryzyko. Trzeba stale pilnować, żeby nie oderwać się od codziennych problemów ludzi.

O klubach parlamentarnych często mówi się, że to gniazda frakcji i kłębowiska żmij. Wchodząc do Sejmu, właśnie to pan zobaczył?

Nie. Moje pierwsze wrażenie było bardzo pozytywne. W tej kadencji pojawiło się wielu nowych posłów. Spotkałem ludzi, którzy przyszli z konkretnymi pomysłami i od razu zabrali się do pracy nad tematami, które uważali za najważniejsze. To zrobiło na mnie bardzo dobre wrażenie Dopiero po pewnym czasie zacząłem dostrzegać różne grupy i środowiska wewnątrz klubu. Ale, szczerze mówiąc, nie są one tak silne, jak były kilkanaście lat temu.

Gdy Pana ojciec był szefem klubu PO, byli wtedy w nim „tuskowcy", „schetynowcy", była „spółdzielnia" Cezarego Grabarczyka. Ojciec w domu opowiadał o tym?

Sam go o to pytałem. Ojciec nie miał zwyczaju wracać do domu i opowiadać o polityce. Raczej chciał od niej odpocząć. Oczywiście część jego znajomych stanowili politycy, ale na szczęście nie wszyscy. To bardzo ważne, bo zamknięcie się wyłącznie w środowisku politycznym grozi utratą kontaktu z rzeczywistością.

Pan teraz będzie próbował wyjść z cienia własnego ojca. Z jakim celem sam przyszedł Pan do Sejmu?

Przede wszystkim chciałem zająć się wymiarem sprawiedliwości. Jako adwokat widziałem, jak ogromnym stresem dla ludzi są kontakty z sądami, nawet wtedy, gdy występują jedynie w charakterze świadków. Chciałbym, żeby postępowania były szybsze i bardziej przyjazne dla obywatela.

To wymaga nie tylko zmian proceduralnych, ale także większego nacisku na sposób prowadzenia spraw. Dobry sędzia powinien nie tylko doskonale znać przepisy, lecz także potrafić rozmawiać z ludźmi i ograniczać niepotrzebny stres związany z procesem. Oczywiście są też kwestie stricte kodeksowe, które wymagają zmian, ale to już bardziej szczegółowa dyskusja.

Nie ma pan jednak poczucia rozczarowania? Koalicja szła do wyborów z zapowiedzią głębokich zmian, a po dwóch latach wiele osób ma wrażenie, że niewiele udało się zrobić.

W obszarze wymiaru sprawiedliwości udało się wprowadzić kilka ważnych rozwiązań. Weszły przepisy przyspieszające postępowania, ustawa dotycząca spraw frankowych, możliwość elektronicznego składania pism procesowych, z której obywatele bardzo chętnie korzystają. Wprowadzono także przepisy dotyczące pełnomocnika dla świadka w procesie karnym. To nie są reformy tak daleko idące, jak sam bym chciał, ale uważam, że idą w dobrym kierunku. Nie mam złudzeń, że początkujący poseł sam przebuduje cały system.

W kampanii wyborczej Pana partia obiecywała, że postawi na nowo fundamenty wymiaru sprawiedliwości. A teraz Pan się chwali tym, że udało się wymienić firanki w jednym oknie.

Problem nie polegał na budowaniu systemu od nowa, lecz na przywróceniu prawidłowego działania organów, które – naszym zdaniem – zostały wcześniej wadliwie obsadzone. Część planowanych zmian rzeczywiście okazała się niemożliwa do przeprowadzenia. Chodzi przede wszystkim o kwestie związane z funkcjonowaniem instytucji takich jak Krajowa Rada Sądownictwa czy Trybunał Konstytucyjny. Tutaj pojawiły się poważne przeszkody. Plany były ambitne, ale sytuacja polityczna, w tym wynik wyborów prezydenckich, znacząco ograniczyła możliwości ich realizacji.

Będąc w opozycji zarzucaliście poprzedniej władzy, że Krajowa Rada Sądownictwa została wybrana na podstawie niekonstytucyjnych przepisów. Teraz dokonaliście wyboru nowych członków KRS, korzystając z tej samej ustawy.

Zasadnicza różnica polega na tym, że stworzyliśmy mechanizm, dzięki któremu sami sędziowie mogli wskazać osoby, które mają ich reprezentować w KRS. Chodziło o naprawienie elementu, który był najczęściej kwestionowany w orzecznictwie europejskim, czyli nadmiernego wpływu polityków na skład Rady. W przypadku KRS chodziło o usunięcie najpoważniejszej wady systemu. Natomiast jeśli chodzi o Trybunał Konstytucyjny, obecny wybór sędziów nie budzi zastrzeżeń prawnych. Nawet prezydent, odmawiając przyjęcia ślubowania od części sędziów, nie wskazał przepisu, który miałby zostać naruszony.

Wskazuje natomiast, że większość parlamentarna przez blisko rok nie zgłaszała własnych kandydatów do Trybunału.

Trybunał nadal funkcjonował w warunkach, które uważaliśmy za wadliwe. Problemem pozostawali tzw. sędziowie dublerzy, czyli osoby wybrane na miejsca wcześniej prawidłowo obsadzone. Do tego dochodziły spory dotyczące kierownictwa Trybunału. W takiej sytuacji niezwykle trudno było znaleźć uznanych prawników gotowych zrezygnować z kariery naukowej czy zawodowej i wejść do instytucji pogrążonej w konflikcie. Dopiero gdy pojawiła się realna perspektywa uporządkowania sytuacji, udało się przekonać kandydatów do objęcia tych stanowisk. Jeżeli ktoś widzi szansę na odbudowę instytucji, łatwiej podjąć taką decyzję. Gdy perspektywą jest wyłącznie wieloletni konflikt, chętnych praktycznie nie ma. Natomiast sama procedura wyboru sędziów jest skonstruowana w taki sposób, że zakłada możliwość niewyłonienia kandydatów w pierwszym podejściu. Parlament skorzystał z rozwiązań przewidzianych przez przepisy. Można dyskutować o ocenie politycznej tych decyzji, ale sam wybór został przeprowadzony zgodnie z obowiązującym prawem.

Donald Tusk umieścił pana w gronie dziesięciu młodych polityków Platformy, którzy mają stanowić przyszłość ugrupowania. To spore wyróżnienie, ale od tamtej prezentacji niewiele o tej inicjatywie słychać. Co właściwie z niej wynika?

Dziennikarze najchętniej opisują wydarzenia, w których dużo

eprasa.pl 91b9e96d45

się dzieje i które budzą emocje. Tymczasem nasza praca wygląda zupełnie inaczej. W dużej mierze polega na spotkaniach, przygotowywaniu programu i planów na kampanię wyborczą. To nie są rzeczy, o których chcemy na bieżąco opowiadać, bo nie ma sensu zdradzać wszystkich pomysłów jeszcze przed rozpoczęciem kampanii. Równolegle staramy się być aktywni w terenie. Spotykamy się z mieszkańcami także w regionach, które są dla nas politycznie trudniejsze.

Zbyt dużo treści w tym nie ma.

Nie. Jedna rzecz bardzo mnie zaskoczyła po wejściu do polityki. To, jak szybko różnego rodzaju poufne informacje trafiają do mediów. Wielu rzeczy człowiek dowiaduje się z gazet, choć wydawałoby się, że nie powinny jeszcze ujrzeć światła dziennego. Być może wynika to z mojego doświadczenia adwokackiego, ale dla mnie tajemnica po prostu pozostaje tajemnicą. Nie mam zwyczaju opowiadać o sprawach, które powinny pozostać wewnątrz partii.

To zapytam szerzej. Wokół jakich tematów będą się Pana zdaniem toczyć przyszłoroczne wybory?

Kluczowe będą bezpieczeństwo i poczucie stabilności. Nie tylko bezpieczeństwo militarne, ale także ekonomiczne. Ludzie będą zastanawiali się, która z partii daje większą gwarancję, że ich poziom życia się nie pogorszy i że uda się zachować to, co udało im się przez lata osiągnąć. Jeżeli spojrzymy na badania, to widać, że wielu Polaków ocenia swoją sytuację materialną całkiem dobrze. To powoduje, że naturalnym odruchem staje się chęć obrony tego stanu rzeczy. W czasach większej niepewności ludzie mniej myślą o dalszym bogaceniu się, a bardziej o tym, by nie stracić tego, co już mają.

Badania CBOS pokazują ciekawy obraz. Nastroje społeczne są dziś lepsze niż pod koniec rządów PiS w 2023 roku, ale jednocześnie wyraźnie gorsze niż w apogeum rządów tej partii w 2019 roku. Która data będzie punktem odniesienia przy kolejnych wyborach?

Na ocenę nastrojów wpływa wiele czynników, także sytuacja międzynarodowa. Dziś żyjemy w znacznie bardziej niepewnych czasach niż kilka lat temu. Kiedy pojawiają się wojna za granicą czy inne zagrożenia, ludzie zaczynają myśleć przede wszystkim o bezpieczeństwie i stabilności. To będzie jeden z najważniejszych elementów tej kampanii.



FOT. ADAM JANKOWSKI

Tomczykiewicz: Wspólna lista Koalicji Obywatelskiej i PSL w kolejnych wyborach to rozwiązanie warte rozważenia

Równocześnie mocno spadło zaufanie do rządu. Po aferze związanej ze Szpitalem Południowym notowania koalicji wyraźnie się pogorszyły. Jak zamierzacie odbudować wiarygodność?

Jeżeli członek partii dopuszcza się przestępstwa, reakcja może być tylko jedna – zawieszenie lub usunięcie z ugrupowania i jednoznaczny sygnał, że nie ma na takie zachowania zgody. Często słyszę od wyborców, że „u was są tacy sami ludzie jak wcześniej w PiS". Odpowiadam, że nieuczciwi ludzie zdarzają się wszędzie, bo partie są częścią społeczeństwa. Odpowiedzialność środowiska politycznego polega na tym, by jak najszybciej takie osoby eliminować i nie pozwalać im wyrządzać dalszych szkód.

Czyli uważa Pan, że to problem konkretnej osoby, a nie całego systemu?

System ma swoje problemy, ale są one znacznie szersze i nie dotyczą wyłącznie partii politycznych. Oczywiście jako koalicja rządząca ponosimy odpowiedzialność za funkcjonowanie państwa, jednak wiele obecnych trudności jest efektem decyzji podejmowanych przez lata. Dobrym przykładem jest ochrona zdrowia. Lekarze zostali wcześniej masowo przeniesieni na kontrakty. Dziś widać konsekwencje tamtych decyzji, które wpływają na funkcjonowanie całego systemu.

Ale o wysokości tych kontraktów decydują dyrektorzy szpitali, a te placówki pozostają pod kontrolą państwa lub samorządów.

To prawda, jednak problem jest bardziej złożony. Rozmawiam z samorządowcami i często zachęcam ich do podejmowania trudnych decyzji organizacyjnych. Na przykład w bliskim mojej Pszczynie Bielsku-Białej funkcjonują dwa oddziały położnicze, choć z ekonomicznego punktu widzenia lepiej byłoby je połączyć. Samorządy często obawiają się jednak reakcji mieszkańców i unikają takich decyzji. Dlatego nie da się wskazać jednego winnego. Na obecny stan ochrony zdrowia składa się wiele decyzji podejmowanych przez lata, a rozwiązania, które kiedyś wydawały się korzystne, dziś okazują się źródłem poważnych problemów.

Wygląda na to, że kwestia reformy służby zdrowia będzie jednym z najważniejszych tematów kampanii w przyszłym roku. Dla Was to może się okazać dużym problemem.

Nie zajmuję się bezpośrednio ochroną zdrowia, więc nie chcę wchodzić w szczegóły. Premier zobowiązał jednak minister zdrowia do przygotowania planu naprawy i liczę, że ona wywiąże się z tego zadania. Jeżeli przedstawi rozsądne i możliwe do szybkiego wdrożenia rozwiązania, trzeba będzie jak najszybciej przejść do ich realizacji. Jeżeli tego nie zrobi, konieczne będą zmiany personalne. W polityce odpowiedzialność za wyniki musi być czymś realnym.

Spodziewa się pan jesiennej rekonstrukcji rządu?

Wszystko zależy od tego, czy Ministerstwo Zdrowia przedstawi wiarygodny plan rozwiązania problemów. Jeżeli tak się stanie, rekonstrukcja nie będzie potrzebna. Jeśli nie, trudno będzie uniknąć zmian.

Mówi Pan wyłącznie o resorcie zdrowia czy o szerszej przebudowie rządu i relacji wewnątrz koalicji?

Uważam, że koalicja pozostaje stabilna. Trzeba pamiętać, że tworzy ją pięć klubów parlamentarnych, wywodzących się z trzech list wyborczych. Pogodzenie różnych programów i wrażliwości nie jest łatwe, ale mimo tego udaje się utrzymać większość i prowadzić rząd. To pokazuje, że współpraca działa. Jeżeli nie będzie powodów do głębszej rekonstrukcji, zapewne do niej nie dojdzie. Wiele zależy również od naszych partnerów koalicyjnych.

A jak powinien wyglądać układ sił przed wyborami parlamentarnymi? Ile list wystawią partie tworzące obecnie rząd?

To zależy od decyzji naszych partnerów. Jeżeli uznają, że warto budować wspólną listę z Koalicją Obywatelską i wspólnie walczyć o większość parlamentarną, jesteśmy na takie rozmowy otwarci. Zawsze powtarzamy, że każdy, kto chce iść w tym samym kierunku i pracować na rzecz rozwoju Polski, jest dla nas naturalnym partnerem.

Jaki układ w Pana ocenie byłby korzystniejszy: wspólna lista czy powtórzenie modelu z 2023 roku, gdy kilka list wspólnie odebrało PiS-owi władzę?

Oba rozwiązania mają swoje zalety. To nie jest wybór zero-jedynkowy. Nie musi być tak, że wszyscy pójdą razem albo wszyscy osobno. Możliwe są także rozwiązania pośrednie.

A gdyby miał Pan wskazać najbardziej korzystny wariant?

Z punktu widzenia ordynacji wyborczej wspólne listy dają pewne korzyści. Jednocześnie trzeba uwzględniać sytuację poszczególnych ugrupowań i ich elektoratów.

Czy chciałby pan zobaczyć PSL na wspólnej liście z Koalicją Obywatelską?

Uważam, że byłoby to rozwiązanie warte rozważenia. Jeżeli okazałoby się, że samodzielny start nie daje PSL-owi wystarczającego bezpieczeństwa, wspólna lista mogłaby przynieść korzyści obu stronom. Zależy nam przecież na utrzymaniu większości parlamentarnej, a nie na tym, by któryś z naszych partnerów znalazł się poza Sejmem. Oczywiście współpraca z PSL nie zawsze jest łatwa. Różnimy się w wielu kwestiach. Ale mimo to mam o wielu posłach PSL bardzo dobre zdanie. Z mojego doświadczenia wynika, że dobrze się z nimi współpracuje, są merytoryczni i nastawieni na szukanie porozumienia. Jeżeli więc będzie taka potrzeba, bez problemu wyobrażam sobie dalszą bliską współpracę z tym środowiskiem.



Maciej Tomczykiewicz

Prawnik, polityk Koalicji Obywatelskiej. Dwa razy kandydował do Sejmu w 2019 i 2023 r. - dwa razy niekutecznie. Został posłem w 2024 r. w miejsce Mirosławy Nykiel, która została europosłanką.

eprasa.pl 91b9e96d45

LUDZIE

Ułaskawiony przez prezydenta RP Piotr Pytel jest już wolny, ale wciąż ciąży na nim wyrok dożywocia

Nie dowierzał temu, co słyszy na sali sądowej, kiedy w 2006 niemiecki sąd skazywał go na dożywotnie pozbawienie wolności za zabójstwo, rozbój ze skutkiem śmiertelnym i rozbój. Nie dowierzał, kiedy po 22 latach za kratami, w czerwcu 2026 roku służba więzienna ZK w Rzeszowie zakomunikowała: pakuj się, za godzinę wychodzisz. Nie dowierzał, kiedy z początkiem lipca rozdzwonił się jego telefon: zostałeś ułaskawiony, jesteś wolny.

Andrzej Pięs

Miał 35 lat, kiedy trafił do bawarskiego aresztu śledczego z zarzutem zabójstwa na Ekaterinie I. Owszem, wiedział, o kogo chodzi, w końcu podwoził Tomasza Lisa (bo tak się ten przedstawił) komunikacją miejską w okolice jej mieszkania, wiedział, że Lis wybiera się do niej, żeby obrabować. Piotr od dłuższego czasu mieszkał i pracował w stolicy Bawarii, znał miasto, znał topografię. Lis kilka dni wcześniej przypłątał się do niego, powołał na wspólnych znajomych w Polsce. Ani języka, ani znajomości miasta, Piotr przygarnął 17-latka i źle się to dla niego skończyło. Tamtego dnia podwiózł chłopaka, został na przystanku, Lis miał tylko wygarnąć wszystko co cenne z mieszkania luksusowej prostytutki i zniknąć. Mowy nie było o zabójstwie. Lis wrócił z fantami, wkrótce potem znikł i Piotr nigdy więcej go nie zobaczył, za to wiele o nim usłyszał.

Dzień po zabójstwie z radia dowiedział się, że Ekaterina zginęła w makabryczny sposób: skatowana, nos i usta oklejone taśmą samoprzylepną, udusiła się własną krwią i wymiocinami. Monachijska policja wydała krocie na to śledztwo, sprawdzili każdego, czyj telefon logował się w stacjach BTS w pobliżu mieszkania Ekateriny w chwili zabójstwa, od każdego pobrali próbki DNA, a nuż któreś będą pasować do tych znalezionych na miejscu zbrodni.

Po danych ze stacji BTS i bilingach rozmów trafili na Piotra, kajdany, areszt, przesłuchanie. Niczego nie ukrywał: był w pobliżu, zawiózł Tomasza na miejsce, to Lis poszedł do Ekateriny na rabunek, Piotra w tym mieszkaniu nigdy nie było. I tak na każdym przesłuchaniu. Nie uwierzyli, najpierw zarzut, potem oskarżenia o zabójstwo.

Tomasza Lisa niemieccy śledczy próbowali szukać, nie znaleźli, w końcu dali sobie spokój. Mieli Piotra, wystarczy, żeby zamknąć śledztwo, bo niemiecka opinia publiczna była żądna krwi. A Piotr przed, w trakcie i po wyroku konsekwentnie: to nie ja zabiłem i na potwierdzenie swoich słów domagał się zbadania go na wariografie. Niemieccy śledczy odmówili. Potem akt oskarżenia, proces i wyrok dożywotniego pozbawienia wolności.

– Kiedy pani Ekaterina I. otworzyła rzekomemu klientowi drzwi mieszkania, Lis zadał ofierze, zgodnie ze wspólnie z Pytlem powziętym planem przestępstwa, potężne ciosy przede wszystkim w głowę. Kiedy silnie krwawiąc pani I. straciła przytomność, Lis zakleił, za pozwoleniem P. otwory oddechowe ofiary przyniesioną taśmą klejącą do paczek. Oskarżeni Pytel i Lis mogli oczekiwać lub przewidzieć śmierć pani I., jako konsekwencję takiego sposobu postępowania. Działanie z przemocą i w następstwie tego skutek śmiertelny miało im umożliwić zabranie przedmiotów wartych kradzieży. Łup ten zamierzali zdobyć za cenę śmierci pani I. Po naocznym stwierdzeniu sposobu działania swego pomocnika Pytel wyszedł z mieszkania, ubezpieczając je z zewnątrz. Ustawił się przed domem. Obecność w mieszkaniu w czasie popełnienia czynu udowodniono Pytlowi dzięki wiarygodnym zeznaniom świadka L.- brzmiało uzasadnienie wyroku skazującego Sądu Krajowego Monachium I.

Ciekawa postać ten „świadek L.". Piotr poznał go w areszcie śledczym: przestępca finansowy, któremu groziła deportacja do ojczyzny w Afryce, a tam może nawet śmierć. Piotr z nim rozmawiał „pod celą" o swoich problemach, a ten przeczytał publikację w Tageszeitung, gdzie była fotografia Piotra, informacja o śmierci Ekateriny i prośba: ktokolwiek wie o okolicznościach śmierci, proszony jest o podzielenie się wiedzą. Za nagrodą finansową.

L. pojawił się na na ostatniej rozprawie Piotra, był – jak Piotr mówił po latach – wisienką na torcie tego procesu. Jego zeznania pogrążyły oskarżonego. Kłamliwe zeznania, jak się potem okazało.

Dożywotnie pozbawienie wolności z prawem ubiegania się o warunkowe przedterminowe zwolnienie w 2019 r.: usłyszał Piotr na sali sądowej.

– Kiedy usłyszałem, że resztę życia mam spędzić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłem, kolana pode mną się ugięły, miałem ciemność przed oczami, nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę – opowiadał podczas rozmowy jeszcze za kratami. – Chyba nie wszystko z tamtej chwili pamiętam. Na sali niemieckiego sądu nie było nikogo z moich bliskich, po „mojej stronie" była tylko adwokatka.

Niemiecki system penitencjarny tolerował jego obecność do 2009 roku. Potem wysłał pod opiekę polskiego więziennictwa, choć Piotr wcale tego nie chciał. Przede wszystkim dlatego, że w Niemczech dziesięć lat później mógł odzyskać wolność, choćby i warunkowo. Po drugie: niemieckie więzienie w porównaniu z polskim to sanatorium. Po trzecie: z jego wyrokiem w polskim systemie prawnym o zwolnienie warunkowe mógłby ubiegać się dopiero po 2030 roku.

Zwrot akcji... bez zwrotu

Jeszcze zza niemieckich krat słał pisma do tamtejszego wymiaru sprawiedliwości o rewizję sprawy, w końcu był niewinny temu, za co został skazany. Odpowiedzi nie było, albo były odmowne.

„Osiadłszy" za polskimi kratami, napisał m. in. do CBŚ. Polska prokuratura szukała wówczas sprawców wielu brutalnych napadów na kantory, banki, konwoje, hurtownię, wszystkie na terenie Podkarpacia, lubelskiego i świętokrzyskiego. Polscy śledczy przeanalizowali list Piotra, uznali, że może coś wiedzieć o sprawcach, wybrali się w odwiedziny do autora listu, przedstawili szereg zdjęć. Na jednym z nich Piotr rozpoznał Tomasza Lisa.

Kiedy usłyszałem, że resztę życia mam spędzić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłem, kolana pode mną się ugięły, miałem ciemność przed oczami, nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę.
PIOTR PYTEL

Kłopot w tym, że niemieckie organy ścigania szukały Tomasza Lisa, człowiek ten w rzeczywistości nazywał się Tomasz W. Stanął przed Sądem Okręgowym w Tarnobrzegu oskarżony o szereg napadów rozbójniczych, udział w zbrojnej zorganizowanej grupie przestępczej i podczas jednej rozpraw nawiązał do wydarzeń z Monachium z 2004 roku.

– Z tą prostytutką to było tak, że ja wszedłem do mieszkania, a Piotr czekał na mnie na zewnątrz – mówił wprost. – W lewej ręce trzymałem kwiatek, podałem jej. Kiedy tylko chwyciła prawą ręką, uderzyłem ją w twarz. Potem kopnąłem i znów uderzyłem. Był moment, że biłem ją tak, jakby mnie coś opętało. Kiedy wychodziłem z łupem z jej mieszkania, ona żyła. Tak głośno oddychała, przykryłem ją kołdrą. Nie mogłem domyć rąk z krwi, czułem taki słodki zapach.

Potem jeszcze wielokrotnie zaprzeczał, że Piotr był na miejscu zbrodni. Polskim śledczym, potem niemieckim śledczym, którzy przed laty prosili polskich o odszukanie Tomaszów Lisów. To po latach polska prokuratura im go dostarczyła w postaci Tomasza W. A ten niemieckiej prokuraturze przyznał się do zabójstwa z 2004 r., wciąż upierając się, że Piotra w mieszkaniu Ekateriny nie było. I to zupełnie bezinteresownie, bo na takim wyznaniu niczego zyskać nie mógł.

W niemieckim sądzie, któremu też przyznał się do popełnienia zabójstwa, dostał dziewięć lat i trzy miesiące pozbawienia wolności i więcej się nie dało, bo kiedy mordował – był nieletnim. Niemiecki Kodeks karny przewiduje maksymalnie taki wyrok dla nieletniego, nawet za najcięższe zbrodnie. Tomasz W. odsiedział swoje, w 2019 r. wyszedł na wolność, w tym samym roku Piotr mógłby dopiero wnioskować o zwolnienie warunkowe, gdyby przebywał w niemieckim zakładzie karnym.

Mając niezbite dowody, kto zabił, a kto nie zabił, ale „siedzi", Prokuratura Okręgowa w Tarnobrzegu poczęła zabiegać u niemieckiej, by ta wznowiła proces Piotra.

– W materiałach już procesowych nie natrafiłem na żadną merytoryczną przesłankę, żeby skazany P. był w mieszkaniu Ekateriny – oświadczył badający sprawę policjant Krzysztof W., kiedy zeznawał przed rzeszowskim sądem w sprawie pierwszego wniosku Piotra o prezydencki akt łaski. – Gdyby się wtedy udało ustalić Tomasza W., wyrok na Piotra P. też mógłby być inny.

Niewiele wskórał ówczesny prokurator Prokuratury Rejonowej w Stalowej Woli Adam Cierpiatka, który wraz Krzysztofem W. odwiedzili w 2009 roku Piotra z więzieniu po lekturze jego listu. I też próbował niezasłużenie skazanemu pomóc.

– Sygnalizowałem stronie niemieckiej kwestie dotyczące pana Pytla, przesyłając wyroki i informując o naszych ustaleniach – mówił przez polskim sądem w 2018 r., również w sprawie wniosku Piotra o prezydenckie ułaskawienie. – Zresztą oni mają dwa sprzeczne wyroki, ale odpowiedzieli w sposób mętny, tzn., że oni uważają, że pan Pytel jest tak złym człowiekiem, a działanie na przedpolu zasługuje na dożywocie.

„Działanie na przedpolu", czyli obecność Piotra w pobliżu miejsca zabójstwa i pomocnictwo Piotrowi Lisowi.

Próbę przekonania niemieckiego wymiaru sprawiedliwości podjął jeszcze w 2013 r. prokurator okręgowy w Tarnobrzegu Marian Burczyk, sugerując zasadność wznowienia przez tamtejszy sąd postępowania w sprawie Piotra. Skończyło się podobnym rezultatem, jak zabiegi prokuratora Cierpiatki i policjanta Krzysztofa W.: bawarski wymiar sprawiedliwości nie chciał słyszeć o wznowieniu sprawy Piotra.

eprasa.pl 91b9e96d45



FOT. BARBARA GALAS

Piotr Pytel pielgrzymuje na Jasną Górę. – Idę podziękować Bogu, ale kiedy wrócę, trzeba będzie podjąć jakieś życiowej decyzje – mówi

Do czterech razy sztuka

Czterokrotnie Piotr zza krat pisał do Kancelarii Prezydenta RP wnioski o prawo łaski. Albo w jego imieniu pisała mama, która nigdy nie uwierzyła w winę syna. Pani Helena przesłała też prośbę o pomoc do Rzecznika Praw Obywatelskich i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Prośbę o „podjęcie działań na rzecz mojego syna Piotra z Rzeszowa".

Wnioski poparte pozytywną opinią sądów okręgowego i apelacyjnego w Rzeszowie, Zakładu Karnego w Rzeszowie, zeznaniami znających sprawę policjantów i prokuratorów, przekonanych materiałem dowodowym, że Piotr nie zabił. Trzykrotnie prezydent Andrzej Duda wnioski zignorował. Nadzieja Piotra za każdym razem słabła, ale nie gasła. Napisał czwarty, już do prezydenta Karola Nawrockiego.

– Nadzieja unosi się falami i opada – przyznawał w wywiadzie dla „Nowin", wciąż jeszcze za kratami. – Liczę się z tym, że i tym razem odmówione mi zostanie prawo łaski, chyba wszystko już sobie wyobrażam. Może się zdarzyć, że wszystkie te zabiegi nigdy nie skończą się dla mnie pozytywnie.

A sprawa Piotra nie była już anonimowa po publikacjach prasowych i po tym, jak zainteresowała się nią polska adwokatura.

W czerwcu tego roku prokurator generalny Waldemar Żurek wydał decyzję, aby Piotra tymczasowo uwolnić, do czasu rozstrzygnięcia wniosku o ułaskawienie. I to się stało 22 czerwca br. na zasadzie: pakuj się, za godzinę stąd wychodzisz.

– Około południa przedstawiciele dyrekcji ZK poinformowali mnie, że dziś mam opuścić celę, ale nie mam pojęcia z jakiego powodu, na jakiej podstawie i z czyjej decyzji – przyznawał już „na wolności", ale wyraźnie mocno oszołomiony biegiem wydarzeń.

Kompletnie niespodziewanie dla siebie, ani dla rodziny, której nie zdążył zawiadomić. Kiedy brama ZK zatrzasnęła się za nim, wsiadł w taksówkę i pojechał do domu. Nie mogąc po drodze napatrzeć się świata niewidzianego od ponad dwóch dekad: mnóstwo samochodów na drogach rodzinnego Rzeszowa, nie to, co z początkiem lat 2000, kiedy ostatni raz te drogi widział. I nie takich samochodów, jak wtedy. Tłumy ludzi, feeria kolorów w przestrzeni publicznej, oszałamiający ruch, kakofonia dźwięków. Stanął w progu domu rodzinnego, mama nie wierzyła, że widzi syna u drzwi. Płacz wzruszenia i śmiech radości na przemian albo jednocześnie.

Nasze prawo karne oparte jest na prawie niemieckim i oba systemy prawne oparte są na starej rzymskiej zasadzie: lepiej uniewinnić sto osób winnych, niż skazać jednego niewinnego.
PROKURATOR PIOTR KOSMATY

Tego dnia po południu trudno było z nim rozmawiać, bo rzeczywistość kompletnie go oszołomiła. Kiedy z przyjacielem trafił do supermarketu, by kupić owoce, nie mógł uwierzyć mnogości wyboru, że wszystkiego można dotknąć.

– Nawet takich prostych rzeczy będę się musiał nauczyć – przyznawał następnego dnia.

W ciągu kilku godzin po 22 latach za kratami: niespodzianie uwolniony, w kontakcie z realem bez krat, w domu i z mamą, o czym jeszcze przed południem nie śmiał marzyć. Za dużo tego naraz. A tymczasem mógł rzeczywistość smakować tylko warunkowo w oczekiwaniu na decyzję prezydenta. W „pierwszym pakiecie" ułaskawionych Piotr się nie znalazł. Znalazł się w drugim.

W poniedziałek, 3 sierpnia, komunikat Kancelarii Prezydenta RP obwieścił o trzech ułaskawieniach. Jedno jak ulał pasowało do Piotra: „Osoba, wobec której prezydent zastosował prawo łaski, była skazana za przestępstwa według prawa polskiego, to jest zabójstwo z rozbojem i rozbój".

Rozdzwonił się jego telefon: jesteś wolny. Nie uwierzył, zadzwonił do adwokatów: „sprawdźcie mi to, proszę, nie róbcie mi tego, że na koniec okaże się, że nie o mnie chodzi" – opowiadał dzień po przed rzeszowskim kościołem farnym, skąd wyruszał na pielgrzymkę na Jasną Górę. – Oni mówią: sprawdziliśmy, to jesteś ty – relacjonował wtedy. – Nie panuję nad emocjami. Pozytywnymi emocjami. Wczoraj była decyzja, dziś idę na pielgrzymkę, a przecież zakład karny opuściłem 22 czerwca, w dzień świętej Rity, patronki sprawa beznadziejnych – odnosił się do wieloletnich starań o uwolnienie. – Dla Boga nie ma przypadków.

Pięć tygodni wcześniej był jeszcze za kratami, bez większych nadziei na wolność. Dziś jest wolny i ułaskawiony, ale to był życiowy rollercoaster w wersji turbo. Trudno zapanować nad emocjami.

Wolny i... co dalej?

Wcześniej nie śmiał snuć żadnych dalekosiężnych planów, w końcu odzyskał wolność warunkowo, do czasu decyzji prezydenta. Bo gdyby była odmowna, on musiałby wrócić za kraty, a z taką perspektywą trudno na poważnie planować resztę życia.

– Na razie jeszcze o tym nie myślę, dziś idę podziękować Bogu, ale kiedy wrócę, trzeba będzie podjąć jakieś życiowej decyzje – mówił już ułaskawiony na chwilę przed wymarszem na pielgrzymkę.

Przede wszystkim podreperować zdrowie, mocno nadszarpnięte za kratami. Potem poszukać pracy.

– I nie wracać myślami do czasu, kiedy patrzyłem na niebo przez kraty – deklarował.

Wolny, ale nie uniewinniony, bo wyrok skazujący za potworną zbrodnię wciąż na nim ciąży, nawet jeśli jej nie dokonał. A może ciąży tym bardziej, bo jej nie dokonał. W rozmowie z „Nowinami" tuż po uwolnieniu przyznawał, że chciałby doprowadzić do wznowienia procesu przed niemieckim sądem, w którym miałby szansę na uniewinnienie.

– Tak pół na pół – oceniał wtedy szanse na samo wznowienie procesu.

Sam nie da rady, już próbował

– Ubolewam nad tym, że polskie państwo jest bezradne wobec losu polskiego obywatela, o którego niewinności zdaje się być przekonane – komentował „Nowinom" jeszcze w październiku 2025 roku sprawę Piotra mecenas Paweł Matyja. – Jedna próba zwrócenia uwagi niemieckiej prokuratury na sprawę Piotra, jaką podjęto w 2013 roku, to niewielki wysiłek. Uważam, że Prokurator Generalny powinien zwrócić się do swojego niemieckiego odpowiednika z prośbą o wyjaśnienie tej sytuacji. Wszak niemiecki system prawny też nie zakłada skazywania niewinnych... Być może to spowoduje zainicjowanie działań z urzędu w Niemczech zmierzających do wznowienia postępowania. To nadal możliwe. I bezwzględnie konieczne.

Również w październiku 2025 r. powód niechęci niemieckiego wymiary sprawiedliwości komentował nam prokurator Piotr Kosmaty, który sprawę Piotra zna doskonale:

– Nie rozumiem strony niemieckiej, bo albo tam jest zła wola, albo ignorancja. Nasze prawo karne oparte jest na prawie niemieckim i oba systemy prawne oparte są na starej rzymskiej zasadzie: lepiej uniewinnić sto osób winnych, niż skazać jednego niewinnego. Stan faktyczny i prawny jest bardzo skomplikowany i trzeba dobrej woli po stronie niemieckiej, by problem rozwiązać – mówił prokurator.

©℗

eprasa.pl 91b9e96d45

PRAWO



FOT. POLICJA ŚLĄSKA

29.07 w Kuźnicy Starej Jakub Sz. swoim BMW uderzył w 9-letniego Fabiana. Chłopiec nie przeżył. Kierowca był odurzony narkotykami (nie pierwszy raz!) i miał sądowy zakaz kierowania pojazdami. Ta tragedia pokazuje, jak kończy się nieskuteczne w Polsce eliminowanie takich osób z ruchu drogowego

Odurzeni i z sądowym zakazem jazdy - wiozą śmierć! Czy szybkie sądy pomogą?

Jakub Sz., który w lipcu zabił 9-letniego chłopca na Śląsku, kolejny raz prowadził auto po narkotykach; miał sądowy zakaz kierowania. Taki zakaz w kraju ma ponad 200 kierowców - wielu go jednak łamie. Jak ich skutecznie eliminować z polskich dróg? Może pomóc osądzanie w trybie 48-godzinnym.

Małgorzata Oberlan

Tragedią z 29 .07, do której doszło w Starej Kuźnicy (powiat kłobucki) na Śląsku, żyła cała Polska. Tego dnia wieczorem Jakub Sz., kierując BMW po narkotykach (kolejny już raz) uderzył w 9-letniego chłopca. Fabian jeździł rowerem przed swoim domem.

Dziecko uderzenia nie przeżyło - zmarło w nocy w szpitalu. Opinią publiczną dodatkowo wstrząsnęło to, jak zachował się po wypadku kierowca i kim był. Otóż po uderzeniu nie szukał ratunku dla chłopca, tylko chełpił się tym, że to „on prowadził ten samochód". Potem też jego reakcje były nienormalne. Jak się okazało, 39-letni Jakub Sz. krytycznego wieczoru prowadził samochód pod wpływem narkotyków. W samochodzie natomiast miał jeszcze 29 gramów towaru. Jechało z nim dwoje pasażerów po trzydziestce. Kierowca był przestępcą drogowym. Nie miał prawa w ogóle siadać za kierownicą - nawet całkowicie trzeźwy i przytomny. Miał bowiem sądowy zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych na okres pięciu lat - za jazdę motocyklem po narkotykach, ucieczkę przed policją i posiadanie środków odurzających.

Ponad 200 tys. kierowców z sądowym zakazem

Po tym dramacie znów - na kilka dni przynajmniej - rozgorzała publiczna dyskusja. Znów o tym, jak to możliwe, że piraci drogowi z sądowymi zakazami kierowania - nawet dożywotnimi czy wielokrotnymi - mają je w nosie, notorycznie je łamią i dosłownie wożą śmierć. Znów, bo dyskusja taka pojawia się w Polsce od lat regularnie, gdy dochodzi do tragedii w podobnych okolicznościach.

Obecnie w kraju jest ponad 200 kierowców z aktywnym zakazem kierowania wszelkimi pojazdami mechanicznymi. Niektórzy mają te zakazy orzeczone przez sądy dożywotnio (ponad 70 tys.). Około 36 tys. z tego grona ma te zakazy orzeczone wielokrotnie - od dwóch do nawet kilkunastu razy! Skąd te sądowe zakazy? To skutki pijanych rajdów, piractwa drogowego, spowodowanych wypadków. Decyzją sądów ich sprawcy mają być wyeliminowani z ruchu drogowego - na kilka lat albo i na zawsze. Niestety, co roku polska policja zatrzymuje ponad 15 tys. kierowców łamiących zakaz. To tyle, ile liczą sobie małe miasteczka.

Od nowelizacji Kodeksu karnego w 2017 r. za złamanie takiego prawomocnego zakazu prowadzenia grozi kolejny zakaz - od roku do lat 15, a nawet kara więzienia od 3 miesięcy do lat 5. I cóż z tego wynika? W praktyce niewiele, jak się okazuje, bo problem wciąż istnieje i boli.

Szybki osąd i nieuchronność kary - według ekspertów tylko one mogą skutecznie podziałać. Być może rozwiązaniem jest stosowanie tzw. szybkich sądów wobec kierowców pijanych, odurzonych, łamiących sądowe zakazy jazdy. Tak już się dzieje choćby w Kujawsko-Pomorskiem.

„Tryb 48 h" - przyspieszony

Jak działa tryb przyspieszony osądzania? Dzięki niemu nietrzeźwy kierowca i/lub łamiący sadowy zakaz kierowania, zatrzymany na gorącym uczynku, może w ciągu 48 godzin stanąć przed sądem i usłyszeć wyrok. W tym czasie wszyscy: od policji przez prokuratora po sąd muszą się zmieścić.

Dotąd w Polsce tryb ten najczęściej stosowany był wobec tzw. stadionowych bandytów. Można go jednak stosować także wobec przestępców drogowych w określonych sytuacjach. Tak się już dzieje także w Kujawsko-Pomorskiem, a ostatnie przypadki - nagłaśniane przez policję i prokuraturę - są tego dowodem.

Zacznijmy od Bydgoszczy. Tutaj 56-letni kierowca recydywista usłyszał wyrok już nazajutrz po tym, jak wpadł w ręce policji 18.07 na ul. Bydgoskiej w Brzozie. - Za nic miał trzy sądowe zakazy, w tym dożywotni, prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych. Ponownie jechał autem, mając ponad 2 promile alkoholu w organizmie - tak ujmuje w skrócie sytuację kierowcy Seata Cordoby nadkom. Lidia Kowalska z Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy.

Mężczyzna trafił do policyjnego aresztu. Policjanci zajęli się gromadzeniem materiału dowodowego. Udowodnili mu również 8 wykroczeń, które popełnił, jadąc seatem z Nowego Dąbia w kierunku Bydgoszczy. Były to m.in. przekroczenie podwójnej linii ciągłej, brak sygnalizowania manewru zmiany pasa ruchu.

Potem sprawą zajęli się śledczy z komisariatu na bydgoskich Wyżynach, którzy wdrożyli tryb przyspieszony, w ramach którego w ciągu 48 godzin podejrzany musi stanąć przed sądem. Tak też się stało. 20.07 Sąd Rejonowy w Bydgoszczy ogłosił wyrok: rok bezwzględnego więzienia, 10 tys. zł do zapłaty, przepadek auta i podtrzymanie w mocy dożywotniego zakazu jazdy.

Wtorek, 21.07 , godz. 20.50. O tej porze właśnie Kamila Ś. zatrzymała policja przy ul. Poznańskiej w Toruniu. Prowadził on Citroena pijany. W pierwszym badaniu alkomat wskazał ponad 1,6 promila alkoholu, w kolejnym - na ponad 1,4. Policjanci ustalili, że Kamil Ś. był już wcześniej prawomocnie skazany przez Sąd Rejonowy w Bydgoszczy za pijaną jazdę. Miał orzeczony sądownie zakaz kierowania wszelkimi pojazdami, ale go łamał. Za to niestosowanie się do zakazu skazany był już w przeszłości przez Sąd Rejonowy w Toruniu.

Wypadki potoczyły się szybko. Już następnego dnia, czyli 22.07, Komisariat Policji Toruń - Rubinkowo skierował do Sądu Rejonowego w Toruniu wniosek o rozpoznanie sprawy tego kierowcy w postępowaniu przyspieszonym. Rozprawa w sądzie odbyła się 23.07. Oskarżony przyznał się do jazdy „na podwójnym gazie". - Sąd uznał Kamila Ś. za winnego zarzucanego mu czynu i wymierzył karę 5 miesięcy pozbawienia wolności, świadczenie pieniężne w wysokości 10 tys. zł na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej, dożywotni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych i przepadek pojazdu - przekazuje prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka toruńskiej prokuratury.

Tryb przyspieszony sądy zastosować mogą też wobec trzeźwych kierowców, którzy łamią sądowe zakazy kierowania. Tak było 27.07 w Toruniu. 26.07 funkcjonariusze z Podgórza, w trakcie patrolu, zwrócili uwagę na dostawczego Volkswagena. Nie spodobał im się jego stan techniczny i zatrzymali go do kontroli. - Kierowcą był 33-letni mieszkaniec pobliskiej miejscowości. Podczas sprawdzania w bazach danych okazało się, że mężczyzna był już w konflikcie z prawem i nie powinien siadać „za kółko". Miał dwa aktywne zakazy prowadzenia pojazdów mechanicznych orzeczone przez sąd, które obowiązywały jeszcze przez kolejne 24 miesiące. Został zatrzymany i trafił do policyjnej celi - relacjonuje mł. asp. Sebastian Dobrzeniecki z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu.

Już 27.07. policjanci doprowadzili 33-latka do Sądu Rejonowego w Toruniu w trybie przyspieszonym. Mężczyznę skazano na 2 lata prac społecznych, dożywotni zakaz prowadzenia i 10 tys. zł do zapłaty. ©℗

Projekt ustawy: obowiązkowa kara bezwzględnego więzienia

Nietrzeźwi kierowcy to nadal wielki problem na polskich drogach. Jak pokazują policyjne statystyki, tylko w ub. roku funkcjonariusze ujawnili ponad 95 tys. takich przypadków. To właśnie pijani za kółkiem spowodowali 1141 wypadków. 124 osoby zmarły, a 1439 odniosło obrażenia. Jak wynika z policyjnych zestawień, najwięcej wypadków po alkoholu (blisko 41 proc.) powodują kierowcy w przedziale wiekowym 25–39 lat. Najwięcej zdarzeń z udziałem alkoholu odnotowuje się w weekendy - w soboty (19 proc.) i niedziele (20,1 proc.).

Prawo i wymierzane kary są coraz surowsze, ale problem wciąż istnieje. Przypomnijmy, że w 2024 r. wprowadzono w Polsce przepisy o przepadku aut pijanych kierowców. Przełożyły się one na tysiące orzeczeń sądowych i miliony zasilające Skarb Państwa w 2025 r. Zdaniem ekspertów wpłynęło to przynajmniej na ograniczenie najtragiczniejszych wypadków. W planie jest jeszcze jedna ważna zmiana prawna. Za złamanie sądowego zakazu prowadzenia auta przez kierowcę, który jest pijany, sąd będzie musiał wymierzyć karę więzienia. Tylko w szczególnie uzasadnionych przypadkach nadal będzie mogła być to kara w zawieszeniu – wynika z projektu ustawy, do którego dotarła „Rzeczpospolita" (3.08).

eprasa.pl 91b9e96d45

OBYCZAJE

Urlop nad Bałtykiem jak ruletka. Upał i sztorm. Wywiało nawet paragony grozy

– Nigdy więcej nie przyjadę nad Bałtyk, zimno. Pogoda urządziła nam survival, a nie spokojne wakacje – mówi młody turysta. Kilka dni później upał i taki komentarz innego turysty: – Tylko polskie morze, piękne, szerokie plaże. Za rok znów tu będziemy

Agnieszka Domka-Rybka

Kto już pojechał w tym roku na wakacje nad Bałtyk, będzie wiedział, o czym mówię. Dostałam pakiet „premium". Trafiłam na deszcz, wiatr, sztorm i upał. Tyle pogodowych atrakcji w zaledwie tydzień! Brakowało tylko śniegu i gradu do kompletu.

Zwykle jeżdżę do nadmorskich „pipidówek", ale przed laty byłam w Łebie i zapragnęłam znów tam pojechać. Przywitał mnie deszcz, a właściwie ulewa. Pierwszym zakupem musiał być płaszcz przeciwdeszczowy. Foliowe peleryny królowały na straganach, zasłaniając mniej chodliwe przy takiej aurze produkty plażowe, jak m.in. parawany, dmuchańce, leżaki, klapki czy chroniące przed słońcem parasole – teraz wzięcie miały zdecydowanie te z przeciwdeszczową misją ratunkową.



AGNIESZKA DOMKA-RYBKA

Gdy znów pada, to... cieszą się właściciele piekarni i cukierni



AGNIESZKA DOMKA-RYBKA

Wakacje bez gofra nad Bałtykiem? To jest niemożliwe. 26 zł: drogi?

Gniotki pokonały pluszowe gęsi i stworki Labubu

Przy jednym ze straganów usłyszałam płacz czy raczej krzyk dziecka i zobaczyłam jego mamę u kresu wytrzymałości: – Pół dnia w wesołym miasteczku, 200 zł, po drodze straż pożarna na monety, kręcone ziemniaki i teraz te obrzydliwe gniotki, nie wytrzymam! – kobiecie wyraźnie puściły nerwy.

Jakie gniotki? Tę wiedzę muszę poszerzyć dzięki AI. Ponoć hitem straganów nad Bałtykiem w sezonie 2026 są kolorowe i elastyczne gniotki sensoryczne Squishy Dumpling, nazywane potocznie „pierożkami". Zastąpiły one popularne w poprzednich latach pluszowe gęsi, kapibary oraz kolekcjonerskie stworki Labubu.

Ojciec chłopca szybko znalazł winnego, a bardziej winowajczynię odpowiedzialną za golenie portfeli: – Przy wspaniałej pogodzie siedzielibyśmy długo na plaży i tyle pieniędzy by nie szło. Ale z drugiej strony, gdybyśmy pojechali, jak rok temu, do Osetnika (plaża Stilo), to co by tam robił nasz Janek w taką ulewę? Dziura nad morzem. Co z tego, że to jedno z ostatnich dzikich i pustych miejsc nad morzem? By się dzieciak nudził, a w Łebie ma liczne atrakcje. I będzie miał co kolegom opowiadać. A za przyjemności trzeba płacić. Kto nie ma miedzi, ten w domu siedzi.

W niepogodę najazd klientów na pewno przeżywają wszelakie budki gastronomiczne, jak np. z goframi. Być nad morzem i nie skusić się na bałtyckiego klasyka? Wszak Bałtyk smakuje goframi! Pachną na każdym rogu i kuszą kubki smakowe.

Wersja na wypasie, czyli z bitą śmietaną i owocami kosztuje 26 zł. Dużo? Dwa, trzy lata temu też jadłam za tyle, ba, trafiały się goferki i za trzy dyszki. W kolejce po tę słodkość słyszę rozmowę pary czterdzieści plus:

– Ostatni raz jestem nad polskim morzem. Znów pech, zimno! Co roku to samo! Pogoda urządziła tu survival, a nie wakacje – irytował się chłopak w białej, markowej bejsbolówce z wielkim, czerwonym parasolem w ręku. – Do tego kicz i dziadostwo na każdym kroku, drożyzna. Śmierdzi starym olejem i wędzonymi rybami. Fuj! Nigdy więcej Bałtyk!

– Ten urlop to test wytrzymałości psychicznej. Polski Bałtyk nie jest wart tych cen – komentowała kobieta w ponczo przeciwdeszczowym w malowane surrealistyczne usta, które skojarzyły mi się z Dalím.

Wysokie ceny nad morzem? Stołując się codziennie w innym miejscu, jadłam dwudaniowe obiady w cenie ok. 40 zł, dwa razy w zestawie była też lemoniada. Naprawdę, trudno nazwać taki rachunek „paragonem grozy". Zresztą, w Łebie jest tak duża konkurencja, że turyści mogą wybierać między rybami, schabowymi, pizzą, pierogami, sushi, a jak komuś za drogo, zawsze może iść do Żabki na hot doga XL. Paragon za bułkę z parówką nie zepsuje humoru. Ale można go za to stracić na plaży, gdy sztorm, gdy leje i wieje.

Lepiej jest, gdy „tylko" wieje, ale wtedy można odlecieć razem z parawanem, wiatr porywa też dmuchane piłki, koła czy materace. Fruwają też flamingi. Dzieci płaczą, a rodzice ratują, co się da. Nie zawsze się da. I znowu ryk!

Gdy jest zimno, ludzie odwołują rezerwacje, inni pakują się i wyjeżdżają. Pensjonaty robią się puste, a naprawdę sporo się tego wybudowało w Łebie i cały czas buduje. Wieczorem ciemne okna widać głównie w apartamentach, bo wczasowicze wybierają jednak tańsze kwatery i ośrodki wypoczynkowe. Koszt pokoju przy takiej konkurencji to żadne tam zdzierstwo.

Nigdzie indziej na świecie nie ma takiego klimatu

Pewnego dnia wychodzi słońce. Deszcz przestaje padać. Wiatr przestaje wiać. Fale leniwie suną po wodzie. Morze nie grzmi i nie szaleje. Plażowicze szaleją. I od razu inaczej układają się plażowe dyskusje. Czuć przyjemną atmosferę, jak np. między dwiema koleżankami, które spacerują brzegiem morza z pieskami rasy chihuahua. Nie wiem, co mam do tych psiaków... Dlatego zupełnie odwracam od nich wzrok i skupiam się na rozmowie dziewczyn.

– Nie ma to jak Bałtyk, nigdzie indziej na świecie nie ma takiego klimatu. Jest cudowny! Kocham za szerokie plaże. Za rok też przyjadę. Przyjedziemy, prawda, Coco? – mówi młoda dama do swojej chihuahua'y.

Druga z pań wspomina obiad:

– Spora porcja flądry z frytkami i surówką za 49 zł to jedzenie za bezcen. „Paragony grozy" nad Bałtykiem? Jakie „paragony grozy?"

Wygląda na to, że słoneczna pogoda sprawiła, że ci, którzy już żegnali się z Bałtykiem na zawsze, pokochali go z dnia na dzień na nowo. Za rok znów będą przeciskać się w tłumie.

Ile w tym roku wydamy na wakacje?

Wydamy 2024 zł na osobę – wynika z raportu „Wakacyjny Portfel Polaków 2026", opracowanego przez Związek Banków Polskich. Wakacje będą droższe, bo rok temu to było 1761 zł (o 281 zł mniej). Przeciętne gospodarstwo domowe planuje przeznaczyć 5 105 zł, tzn. o ponad 700 zł więcej niż rok temu – to wzrost o 16 proc. Aż 80 proc. nie planuje na wakacje wziąć kredytu czy pożyczki. To, zdaniem autorów raportu, ważny sygnał, pokazujący utrzymującą się wysoką świadomość finansową gospodarstw domowych.

ZBP radzi też, aby na wakacjach chronić swoje pieniądze i dane osobowe. Nawet najbardziej zaawansowane zabezpieczenia nie zastąpią naszej ostrożności i rozwagi, m.in. podczas korzystania z bankomatów i terminali płatniczych. Oszuści podszywają się również pod znane firmy, właścicieli obiektów noclegowych czy popularne platformy rezerwacyjne, licząc na to, że użytkownik podejmie decyzję bez dokładnej weryfikacji otrzymanej wiadomości. Uwaga na fałszywe strony internetowe łudząco przypominające znane serwisy rezerwacyjne, których celem jest wyłudzenie danych logowania lub danych karty płatniczej. Kolejne oszustwo polega na przejęciu kont właścicieli obiektów noclegowych i wysyłaniu próśb o dopłatę lub ponowną autoryzację płatności poza oficjalną platformą. Trzeci schemat to publikowanie fałszywych lub wprowadzających w błąd ofert noclegowych, które kończą się utratą pieniędzy lub rozczarowaniem po przyjeździe na miejsce. Sprawdzajmy wszystkie informacje.

A na koniec dobra rada dla tych, którzy dopiero wybierają się nad Morze Bałtyckie. Polecam zabrać kostium kąpielowy, kurtkę przeciwdeszczową, bluzę, czapkę, trochę pieniędzy i... odrobinę dystansu. ©℗

eprasa.pl 91b9e96d45

SPOŁECZEŃSTWO

Marcin Najman: Nie ma zgody na atakowanie ludzi tylko dlatego, że pochodzą z Ukrainy, Ameryki czy choćby z Księżyca

– Nie jesteśmy krajem dzikusów. Polacy są i zawsze byli porządnymi, gościnnymi ludźmi. Niestety, takie jednostki, takie ewenementy i takie haniebne sytuacje potrafią później to wszystko przysłonić – mówi Marcin Najman

Anita Czupryn

Internet obiegło nagranie z Wrocławia, na którym trzech mężczyzn napada na parę Ukraińców, 20-letnią Anastazję i 21-letniego Maksyma. Skomentował pan tę sprawę w mediach społecznościowych. Co pan zobaczył na tym nagraniu? To była bójka czy polowanie?

Nie, proszę pani, to nie była bójka. To była agresywna napaść na dwoje ludzi. Wiemy, że wcześniej doszło do sprzeczki w sklepie, ale ja w ogóle pomijam dociekanie, na jakim tle do niej doszło. Takiego zachowania nie można tolerować w żadnej sytuacji ani w żadnym kontekście. Nie ma dla niego usprawiedliwienia. Po prostu nie ma. Nie przyjmuję tłumaczenia, że ktoś coś komuś powiedział, wepchnął się do kolejki albo komuś odpowiedział. Czasem komuś, kto weźmie o kilka zastrzyków testosteronu za dużo, zaczyna się wydawać, że żyje w rzeczywistości, w której siła fizyczna predysponuje go do tego, żeby wepchnąć się do kolejki albo narzucać innym swoją wolę. Nie. Te czasy są już, na szczęście, dawno za nami. Żyjemy w normalnym, fajnym, cywilizowanym państwie. Polacy nie są dzikusami. Takie jednostki trzeba po prostu eliminować ze społeczeństwa. I tylko tyle.

Dzisiaj już wiemy, że wśród tych napastników jednym z nich był Adam C., pseudonim Cycu, sam publicznie przyznawał, że spędził jakiś czas w więzieniu. Znany jest z walk bokserskich na gołe pięści. Drugi z mężczyzn, 27-letni Tomasz M., według mediów związany ze środowiskiem pseudokibiców i walczący w MMA. Trzeci wciąż poszukiwany. Czy trzech na jednego plus na kobietę, można to nazwać jakąś walką?

Nie. Ci ludzie kompletnie nie rozumieją, czym jest walka. Przede wszystkim nie ma to nic wspólnego z boksem. Chciałbym wyjaśnić, że walki na gołe pięści to nie są walki bokserskie. Walki na gołe pięści są po prostu walkami na gołe pięści i z tego, co wiem, Adam C. uczestniczył właśnie w takich pojedynkach. Nic mi nie wiadomo o tym, żeby kiedykolwiek brał udział w rywalizacji bokserskiej. Boks to bardzo szlachetna dyscyplina. Dwoje ludzi wychodzi na ring i wymienia ciosy według określonych reguł. To jest piękna sztuka. Nie ma nic wspólnego z bijatyką ani ze skakaniem komuś po głowie we trzech. Nie można zestawiać sportu z tak bandyckim i haniebnym procederem. Każdy, kto ma choć odrobinę godności, honoru i wie cokolwiek o honorze, rozumie, że atak dwóch, trzech czy czterech na jednego jest haniebny. Nie ma nic wspólnego z żadnym kodeksem rycerskim czy honorowym, z pojedynkami rycerzy, do których ci ludzie chcieliby nawiązywać. W takim zachowaniu nie ma ani honoru, ani odwagi. Oni nie mają wiedzy. Są tumanami, tylko wydaje im się, że wiedzą, czym jest honor. Zaapelowałem też w mediach społecznościowych do dziennikarzy, żeby nie mylili narodowców z osiłkami, którzy sami siebie narodowcami nazwali. Komuś się wydaje, że wystarczy wziąć kilka zastrzyków testosteronu, skoczyć we trzech człowiekowi po głowie i już można nazywać się narodowcem. Nie, przecież to kompletne wypaczenie tego pojęcia. Narodowcem był Roman Dmowski. Sam jestem patriotą i mam konserwatywne poglądy. Nie uważam, żeby było w tym coś złego. Wręcz przeciwnie, sądzę, że to bardzo dobre idee. Nie ma jednak przyzwolenia na to, żeby używać wobec ludzi agresji ani atakować ich dlatego, że pochodzą z Ukrainy, Ameryki czy choćby z Księżyca. Nie jesteśmy krajem dzikusów. Polacy są i zawsze byli porządnymi, gościnnymi ludźmi. Uchwaliliśmy pierwszą w Europie i drugą na świecie nowoczesną konstytucję. Od średniowiecza przybywali do naszego kraju ludzie różnych narodowości. Polacy naprawdę są gościnnym narodem. Niestety, takie jednostki, takie ewenementy i takie haniebne sytuacje potrafią później to wszystko przysłonić.

Napisał pan, że podczas ataku we Wrocławiu odwagę pokazała tylko młoda Ukrainka, Anastazja. Dlaczego?

Tak twierdzę, tylko ona i była to szalona odwaga. Odezwał się do mnie chyba jej brat, napisał do mnie w mediach społecznościowych. Poprosiłem, żeby przekazał Anastazji, że ta kobieta pokazała prawdziwe oblicze bohaterstwa, pokazała, czym naprawdę są bohaterstwo i odwaga. Broniąc swojego chłopaka, stanęła naprzeciwko trzech nasterydowanych oszołomów. Mam dla niej wielkie słowa uznania.

Nie mieści się w głowie, że oni także na nią się rzucili i ją pobili.

Proszę pani, nie chcę, żeby to, co teraz powiem, w jakikolwiek sposób ich usprawiedliwiało. Ale znam życie i znam te środowiska. Wiem, że środki dopingujące czasem odłączają myślenie. Jeśli jednak tak działają, to znaczy, że nie należy ich brać. Jest takie powiedzenie: „Nie umiesz pić, to nie pij". Tutaj jest tak samo: jeśli nie umiesz nad tym zapanować, nie rób tego. Inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć takiego zachowania. Tym ludziom odebrało rozum. Nikt normalny nie zachowałby się w taki sposób.

Czy freak fighty sprzedają sport, czy agresję?

To jest temat dużo bardziej złożony. Sam nadal jestem freak fighterem. Zdaję sobie sprawę, że w tym świecie wielokrotnie przekraczano granice. Tego nie da się zanegować. Trzeba jednak uczciwie powiedzieć, że federacje próbują dzisiaj z tym walczyć.

Federacje odpowiadają za ludzi, z których same robią gwiazdy?

Dzisiaj sytuacja wygląda już inaczej niż kiedyś. To wszystko bardzo się zmieniło. Wiem o tym, bo jestem w tym środowisku i widzę, że organizatorzy naprawdę starają się wpływać na zachowanie zawodników, żeby nie dochodziło do skrajności. Freak fighty bazują na emocjach, chociaż różni ludzie mogą inaczej oceniać, gdzie przebiega granica i co już jest jej przekroczeniem. Dla mnie użycie siły fizycznej wobec człowieka, który nie chce walczyć, jest absolutnym przekroczeniem wszelkich granic. Jeżeli ktoś ma ochotę na walkę, obaj umawiają się na sparing, zakładają rękawice i mogą się okładać. Nie mam z tym żadnego problemu. Ale jeżeli ktoś nie ma ochoty walczyć, nikt nie ma prawa go bić ani zmuszać do takiej konfrontacji. Z jakiego powodu miałby mieć? Kilka dni temu rozmawiałem z wicemarszałkinią Senatu Magdaleną Biejat. Dzisiaj dostałem paczkę od Lewicy, która ma hasło: „Najpierw ludzie, potem ludzie, zawsze ludzie". Z Lewicą nie mam nic wspólnego. Ideologicznie jesteśmy na dwóch różnych biegunach, a mimo to z przyjemnością z jej przedstawicielami porozmawiam i posłucham, co mają do powiedzenia. Nie rozumiem, jak można się pokłócić na tle politycznym. Mam przyjaciół, podkreślam: przyjaciół, nie znajomych, którzy myślą inaczej niż ja. Nigdy nie przyszłoby nam do głowy, żeby kłócić się o poglądy. To byłoby szaleństwo. Nie chcę też wyjść na kogoś, kto broni organizatorów, bo ma w tym interes, przecież de facto nadal jestem freak fighterem. Mówię jednak zupełnie szczerze: to środowisko bardzo się zmieniło. Proszę zobaczyć, jak dzisiaj wygląda gala FAME MMA, na której walczą tacy zawodnicy jak Tomasz Adamek, Michał Materla czy ja. Sam przez wiele lat zajmowałem się sportem zawodowym, dlatego mam pewne porównanie i mogę powiedzieć, że teraz wygląda to zupełnie inaczej niż na początku. Ale na takich samych emocjach bazują politycy. To oni skłócają ludzi. Kiedy oglądam debaty sejmowe i słucham języka, którym politycy walczą z przeciwnikami, widzę zachowania niczym nieróżniące się od tego, co dzieje się podczas najgorszych konferencji freak fightowych. I nie mówię tego dlatego, że dobrze brzmi zestawienie Sejmu z galą freak fightową. Naprawdę uważam, że to ten sam język, te same zachowania i dokładnie ten sam mechanizm podkręcania emocji.

Wróćmy do zdarzenia we Wrocławiu. Wygląda na to, że wystarczył język ukraiński, a może sam ukraiński akcent, żeby uruchomić przemoc. Co się z nami stało?

Proszę, nie generalizujmy. Nie wierzę, że ludzie, którzy naprawdę są patriotami, mogliby mieć tak paskudne i obleśne podejście do życia.

Niektórzy politycy podsycają niechęć do Ukraińców.

Czym innym jest nie zgadzać się z decyzją prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Ja także się z nią nie zgadzam i uważam, że popełnił ogromny błąd, nadając jednej z jednostek Sił Zbrojnych Ukrainy imię „Bohaterów UPA". Moim zdaniem było to fatalne zagranie polityczne, podjęte zapewne również z przyczyn wewnętrznych. Czym innym jest jednak debata o historii i jej upamiętnianie, a czym innym codzienne funkcjonowanie z ludźmi. Historia nie może usprawiedliwiać agresji w relacjach międzyludzkich. Właśnie pojawiło się kolejne nagranie, tym razem z pociągu pod Warszawą, pokazujące to, o co apelowałem: żeby ludzie reagowali. Dwaj mężczyźni werbalnie zaatakowali nastoletniego Ukraińca. Później doszło do szarpaniny z konduktorem, a pozostali pasażerowie stanęli po właściwej stronie: obezwładnili agresorów i wyrzucili ich z pociągu. Takie rzeczy nie mogą wpływać na stosunki między zwykłymi ludźmi. Historia już to wszystko widziała: brunatne marsze w Niemczech lat 30. i noc długich noży. To wszystko już było. Ludzie nieświadomi, niewykształceni i pozbawieni wiedzy są podatni na manipulację, a politycy często cynicznie to wykorzystują. Sami zwykle mają wiedzę, lepsze lub gorsze wykształcenie i rozumieją, jak wygląda rzeczywistość. Nie mówię oczywiście o tych wszystkich przedstawicielach „kolegium tumanów", ale o ludziach, którzy naprawdę chodzili do szkoły. Oni zwykle wiedzą, jak to wszystko wygląda. Mimo to dla własnego, partykularnego interesu sięgają po takie hasła i wezwania. To jest bardzo złe. Kiedyś sympatyzowałem z Konfederacją. Skoń-

eprasa.pl 91b9e96d45

czyło się, gdy jej przedstawiciele pojechali na fermę norek i stwierdzili, że skąd ludzie mogą wiedzieć, czy zwierzętom w klatkach, w których prawie nie są w stanie się ruszyć, jest dobrze, czy źle. Kiedy słyszę coś takiego, a sam mam w domu zwierzęta, nie jestem w stanie tego zaakceptować. Zwyczajny człowiek nie może tego słuchać. To dla mnie taka głupota, bzdura i bezduszność, że nie da się z tym funkcjonować. Dlatego od tego nurtu się odsunąłem, chociaż nigdy nie byłem członkiem Konfederacji, jedynie jej sympatykiem. Najważniejsze, żeby w tym wszystkim zachować zdrowy rozsądek. Nikt nikomu nie zabrania być lewicowym, prawicowym czy centrowym. Niech każdy będzie, kim chce. Są jednak żelazne zasady: nikt nie ma prawa podnosić ręki na drugiego człowieka ani bez powodu go obrażać. Cieszę się, że polskie społeczeństwo koniec końców zachowuje się znakomicie. Ci trzej z Wrocławia zostali w mediach społecznościowych tak pogonieni i potępieni, że widać wyraźnie: nie ma przyzwolenia na ich zachowanie. To bardzo dobre. Mówmy także o tych dobrych rzeczach; o tym, że społeczeństwo zdecydowanie się temu sprzeciwiło. To również trzeba pochwalić.

Napisał pan kiedyś, że żałuje, iż „stworzył Stanowskiego". Za co pan wtedy przepraszał?

Za to, że dałem mu możliwość wystąpienia, dzięki mojej popularności, w „Hejt Parku", który do dziś ma około 13 milionów wyświetleń. Krzychu był wcześniej znany tak naprawdę tylko w swoim środowisku piłkarskim. Gdzieś pracował u bukmachera, gdzieś próbował być dziennikarzem. Ale żeby być dziennikarzem, trzeba mieć jakąś elementarną wiedzę i wykształcenie. Krzychu, z tego, co wiem, macha jakimś świadectwem maturalnym, a dla mnie to jeszcze nie jest wystarczający powód, żeby nazywać się dziennikarzem. Dałem mu dużą platformę, dzięki której mógł się pokazać całej Polsce. Późniejsze utarczki ze mną tylko jeszcze bardziej napędzały jego rozpoznawalność. I właśnie za to przepraszałem. Pewnie i beze mnie zbudowałby swoją popularność, bo ma talent do wyczuwania nastrojów i łapania nurtów. Nie widzę u niego żadnej ideologii, za to ogromną umiejętność wykorzystywania tematów i mówienia ludziom tego, co chcą usłyszeć. Dzisiaj jest mu trudniej, bo de facto określił się politycznie. Kiedyś wypłynął na tym, że potrafił wtapiać się w takie tematy, które akurat interesowały ludzi. Kiedy zajął się Natalią Janoszek, nie twierdziłem, że nie należało o tej sprawie napisać. Napisał raz, a potem zaczął tworzyć z tego cały serial tylko pod wyświetlenia. Pojechał do Indii. Dla mnie na pewnym etapie wyglądało to już jak gnębienie i dręczenie tej dziewczyny. Tak ja to odbierałem, chociaż oczywiście nie wiem, jakie on miał intencje. Ludzie klikali, bo dostawali spektakl za darmo. W średniowieczu też palono czarownice, a ludzie stali i się cieszyli.



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Marcin Najman, były pięściarz, aktywnie działa na platformie X. Ostro występuje przeciwko napadom na Ukraińców

Chce pan powiedzieć, że nienawiść dobrze się klika i dlatego powstają takie spektakle?

Nie chciałbym iść w kierunku kreślenia psychologicznego portretu Krzycha. To szczwany lis, sprytny gość, który, moim zdaniem, nie jest dziennikarzem, tylko bardzo sprawnym youtuberem. Potrafi doskonale odczytywać nastroje społeczne. Ostatnio chyba trochę ten instynkt zgubił, bo zbyt wyraźnie określił się politycznie. Naprawdę nie uważam jednak, żeby była to osoba, dla której warto tworzyć jakiś psychologiczny portret. To nie ma w ogóle sensu.

Czy odmówiłby pan walki z człowiekiem, który promuje się na ksenofobii?

Absolutnie. Nie ma w ogóle tematu. Tacy ludzie nie zasługują na walkę. Za walką zwykle idzie także określona gratyfikacja finansowa, a oni absolutnie nie powinni korzystać z tego rodzaju dobrodziejstw. Absolutnie. Słyszałem wypowiedź Mateusza „Don Diega" Kubiszyna, mistrza GROMDY, który jednoznacznie skrytykował Adama C. Powiedział mu, żeby dla własnego dobra więcej nie przyjeżdżał na galę GROMDA, przeprosił wszystkich i przestał nazywać się „Gromdziarzem". Cieszę się, że taki głos padł z tego środowiska, bo takie zachowania trzeba piętnować. Nie ma na nie przyzwolenia. W całym tym show granica bywa niestety przekraczana. GROMDA także tę granicę przekraczała, bazując w promocji na treściach, za którymi de facto kryła się ksenofobia. Dzisiaj zbiera tego owoce.

Widział pan zdjęcia dłoni jednego z podejrzanych. Ma na nich wytatuowane imiona swoich dzieci. Tymi samymi rękami zapewne głaszcze je po głowach, a chwilę później uderza cudze dzieci.

To jest bardzo, bardzo smutne. Wszystkich dzieci szkoda. Także tych, które teraz przez ileś lat mogą nie mieć przy sobie ojca. Niestety, każdy odpowiada za siebie i za swoje wybory. Oni wybrali w ten sposób. Powtórzę jeszcze raz: uważam, że środki przyjmowane przez ludzi z tego środowiska potrafią znacznie szybciej odciąć im myślenie. Być może dzisiaj tego żałują. Jestem wręcz przekonany, że żałują. Ale w niczym nie usprawiedliwia to tego, co zrobili.

O jakich środkach pan mówi?

Proszę pani, nawet zwykły testosteron, jeżeli jest przedawkowany, może tak działać.

Czego ci trzej mężczyźni, zapewne uważający się za twardych facetów, mogliby nauczyć się od 20-letniej Anastazji?

Oni nigdy się tego nie nauczą. Taką dzielność, taką postawę i taką odwagę trzeba po prostu mieć w sobie. Oni już pokazali, że tego nie mają. Grupy, które atakują we trzech czy czterech jednego człowieka, robią to tylko dlatego, żeby mieć stuprocentową pewność, że im samym nic się nie stanie. To jest oznaka wyłącznie tchórzostwa. Idziesz na pewniaka, bo wiesz, że nie oberwiesz, za to możesz skakać komuś po głowie. Gdyby istniało jakiekolwiek ryzyko, że sam także dostaniesz, nie byłbyś już taki „hej, do przodu". Przecież właśnie na tym polega ich rzekoma odwaga: wybierają sytuację, w której sami nie ponoszą żadnego ryzyka. Ta kobieta pokazała niesamowitą odwagę. Nie ma tu żadnego porównania. Anastazja jest szalenie odważną, dzielną kobietą, a oni to trzej osiłkowie bez honoru, którzy nie mają w sobie żadnej zdolności do honorowego zachowania.

Dlaczego angażuje się pan w te sprawy?

Bo wiem, że mam za sobą bardzo szerokie grono młodych ludzi. Freak fighty sprawiły, że wielu z nich zostało moimi fanami i jest to naprawdę ogromna rzesza. Mam dzisiaj dużą bazę młodych odbiorców i wiem, że słuchają oraz czytają to, co publikuję. Skoro mam możliwość do nich przemówić, a znam życie od podszewki i sam popełniłem kilka błędów, chcę im powiedzieć, żeby tych błędów unikali. Chcę, żeby usłyszeli to z wiarygodnego dla nich źródła, czyli ode mnie. Nie od polityka czy nauczyciela, ale od gościa, który także zna życie. Żeby była jasność: nigdy w życiu nie zaatakowałem nikogo, będąc w grupie. Nie chcę, żeby łączono mnie z takimi sytuacjami. Znam jednak końcówkę lat 90., pamiętam ją i wiem, jak wtedy funkcjonowało życie. Wiem też, że z tych wszystkich bohaterów na koniec bohatersko na komendzie zachowuje się może jeden na dziesięciu. Ja po prostu to wszystko tym młodym ludziom tłumaczę, żeby nie dali się nabrać na puste slogany. Tłumaczę im więc, żeby nie wierzyli w bzdury o jakiejś „sztywności", bo wedle ich mniemania ma ona świadczyć o zasadach i honorze, a jest tylko pustą gadką dla idiotów. Później na komendzie każdy z nich pierwszy krzyczy, że będzie sypał kolegów, byle dostać mniejszą karę. Chcę tych młodych uświadomić, żeby nie szli za taką narracją, bo nie ma ona nic wspólnego z odwagą ani honorem. Poza tym dziewięciu na dziesięciu i tak zrobi później przysłowiowy szpagat. Ci młodzi, do których mówię, doskonale wiedzą, co mam na myśli.

eprasa.pl 91b9e96d45

BEZPIECZEŃSTWO

Toną bez krzyku, często kilka metrów od innych

W wodzie najczęściej giną mężczyźni, a alkohol wciąż przewija się w tragicznych statystykach. Ratownicy widzą też brawurę, skoki z pomostów i pływanie bez asekuracji. Wystarczy chwila paniki lub przecenienie własnych sił. Gdy ktoś znika pod wodą, na ratunek zostają zaledwie minuty.

Justyna Piasecka-Gabryel

26 czerwca tego roku, Jezioro Pamiątkowskie w Wielkopolsce. Jest wieczór, kiedy służby dostają zgłoszenie o 17-latku, który podczas pływania znika pod wodą. Na miejsce rusza 11 zastępów straży, łodzie i specjalistyczna grupa wodno-nurkowa z Poznania. Chłopaka odnajduje pod wodą nurek. Ratownicy podejmują resuscytację i udaje im się przywrócić funkcje życiowe. Nastolatek śmigłowcem trafia do szpitala w Poznaniu. Dzień później umiera.

Rok wcześniej cała Polska usłyszała o tragedii nad Jeziorem Ośno koło Wolsztyna. 15-letni harcerz podczas nocnej próby na stopień „ćwika" miał przepłynąć około 500 metrów. W pełnym umundurowaniu i butach. Nie dopłynął. Zniknął pod wodą, jego ciało odnaleziono kilka godzin później. Sprawa trafiła do sądu. O narażenie chłopca na bezpośrednie niebezpieczeństwo i nieumyślne doprowadzenie do jego śmierci oskarżeni zostali drużynowy oraz ratownik WOPR. Według prokuratury obaj pozostali na pomoście i nie zapewnili nastolatkowi właściwej asekuracji.

W kwietniu 2024 roku grupa znajomych wynajęła domek w Bieślinie koło Trzemeszna na wieczór kawalerski. W nocy trzech mężczyzn wypłynęło łódką na Jezioro Ostrowickie. Łódź się przewróciła. Wszyscy znaleźli się w wodzie. Dwóch mężczyzn udało się uratować. 23-letni mieszkaniec Poznania utonął.



FOT. ROBERT WOŹNIAK

Marek Frąckowiak z wielkopolskiego WOPR podkreśla, że po zniknięciu człowieka pod wodą na ratunek jest zaledwie 4–6 minut

Sierpień 2023 roku, Jezioro Maltańskie w Poznaniu. Około godz. 22 młody mężczyzna wchodzi do wody. Po przepłynięciu kilku metrów zaczyna tonąć. Dwie osoby, które były z nim, próbują go ratować. Bezskutecznie. Strażacy wydobywają z jeziora ciało 28-latka.

Jedna z najbardziej wstrząsających tragedii wydarzyła się w lipcu 2021 roku w Antoninie. Dwuipółletni chłopiec wyszedł rano z domku letniskowego, dotarł nad zbiornik Szperek i wpadł do wody. Mimo reanimacji nie udało się go uratować. W listopadzie 2022 roku sąd skazał oboje rodziców na pół roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata za niedopilnowanie dziecka i nieumyślne spowodowanie jego śmierci.

Nie ma trwałego spadku

Takich historii są co roku setki. W latach 2016–2025 w Polsce utonęło 4435 osób. Przez kilka lat liczba ofiar utrzymywała się na podobnym poziomie. Wyraźny spadek przyniósł dopiero 2025 rok, kiedy w wodzie zginęły 292 osoby. Tragedii nie brakuje także w tym roku. Według danych Rządowego Centrum Bezpieczeństwa od 1 kwietnia do 3 sierpnia w Polsce utonęło 140 osób.

– W lipcu w Wielkopolsce nie odnotowaliśmy żadnego przypadku utonięcia. To dla nas bardzo pozytywny wynik – mówi podkom. Katarzyna Sammler z Komisariatu Wodnego Policji w Poznaniu.

Nie oznacza to jednak, że nad wodą było spokojnie. W ciągu miesiąca policjanci ujawnili 90 wykroczeń, z czego 64 na wodzie. Nałożyli 64 mandaty.

Liczba utonięć bardzo mocno zależy od pogody. Marek Frąckowiak, rzecznik wielkopolskiego WOPR, zwraca uwagę, że kiedy pada i jest chłodno, ludzi nad jeziorami jest mało. Wystarczy kilka gorących dni i sytuacja zupełnie się zmienia. Przy temperaturach przekraczających 25-30 stopni w skali kraju może dochodzić nawet do kilkunastu utonięć dziennie.

Potwierdził to także ubiegły rok. W wakacje 2025 roku utonęły w Polsce 122 osoby. Rok wcześniej było ich 187, a w 2023 roku – 183. Ratownicy wskazywali wtedy przede wszystkim na chłodniejsze lato, które po prostu rzadziej wyciągało ludzi nad wodę.

Mężczyzna po czterdziestce

Statystyki pokazują też, kto ginie najczęściej. W ciągu dziesięciu lat około 88 proc. wszystkich ofiar stanowili mężczyźni. Niemal połowa – 48,5 proc. – miała więcej niż 50 lat.

– Z wiekiem sprawność spada. Osoby w średnim wieku czasami mają kontakt z wodą dwa, trzy razy w roku. Nie chodzą na basen, nie ćwiczą. A później dochodzi jeszcze alkohol i chęć zaimponowania komuś – mówi Frąckowiak.

W rozmowie pada zdanie, które ratownicy słyszą nad wodą częściej, niż chcieliby słyszeć: „Dziesięć lat temu całe jezioro opływałem".

Problem zaczyna się wtedy, gdy ktoś swoje umiejętności z basenu przenosi wprost na jezioro.

Na basenie co 25 metrów jest ściana. Można się od niej odbić, zatrzymać, złapać liny. Woda jest przejrzysta, nie ma fal ani roślinności. W jeziorze drugi brzeg, który wydaje się blisko, może być oddalony o kilkaset metrów.

– Tutaj trzeba przepłynąć 100 czy 200 metrów bez przerwy. Nie ma zatrzymania się, nie ma lin. Woda jest zimna i nieprzezroczysta. Nie

AKCJA CHARYTATYWNA 0011544302



eprasa.pl 91b9e96d45

daj Boże jeszcze jakaś ryba nas muśnie i zaczyna się panika – tłumaczy Frąckowiak.

Podkom. Katarzyna Sammler mówi, że właśnie ludzie pływający samotnie daleko od brzegu są jedną z największych bolączek policjantów.

Nie mają bojki, nikt nie płynie obok nich łodzią czy kajakiem. Jeśli przyjdzie skurcz, człowiek się zachłyśnie albo nagle źle się poczuje, nie ma czego się złapać. Przepisy nie nakazują pływakowi zabrania bojki, więc policjant nie może za jej brak wystawić mandatu.

– Bez bojki, bez środków asekuracyjnych, jeżeli cokolwiek wydarzy się na wodzie, to naprawdę może być kwestia kilkudziesięciu sekund – mówi Sammler.

Alkohol nad wodą wciąż jest normą

Drugi problem nie zmienia się od lat: alkohol. Z policyjnych statystyk z lat 2016-2025 wynika, że jego spożycie przed utonięciem stwierdzono u 963 ofiar, czyli u więcej niż co piątej. W rzeczywistości nie w każdym przypadku można później jednoznacznie ustalić wszystkie okoliczności zdarzenia.

– Nietrudno sobie wyobrazić, jak wygląda nietrzeźwa osoba. Idzie ulicą chwiejnym krokiem. I dokładnie w takim samym stanie ludzie wchodzą do wody – mówi Frąckowiak. – Wystarczy kilka kroków, tracą grunt, dochodzą zaburzenia równowagi. Człowiek zaczyna pić wodę i tonie.

Alkohol to także częsty problem podczas policyjnych kontroli. Na rowerze wodnym, kajaku czy SUP-ie trzeba być trzeźwym, a policja może to sprawdzić alkomatem. – Spotykamy osoby pod wpływem alkoholu na jednostkach pływających. Wtedy pojawia się brawura i bardzo łatwo o niebezpieczną sytuację – mówi podkom. Katarzyna Sammler.

Mandat grozi też za brak wymaganych środków ratunkowych. Policjanci często spotykają się z tym u osób pływających na SUP-ach, które kupują deskę, ale nie sprawdzają, jakie wyposażenie powinny mieć ze sobą.

Jak wygląda to z perspektywy ratownika na plaży, opowiada Jakub, który od dwóch lat pracuje nad poznańską Rusałką.

– Osób pod wpływem alkoholu jest bardzo dużo. I w każdym wieku. Bardzo często, kiedy ktoś jest już pod wpływem, zaczyna się też awanturować – mówi.

Ratownicy najpierw każą takiej osobie wyjść z wody. Jeżeli polecenie nie działa, wzywają policję.

– W cieplejsze dni bywa, że policja przyjeżdża dwa, trzy razy dziennie – przyznaje Jakub.

Tonący nie woła o pomoc

Najbardziej mylące może być samo tonięcie. Człowiek, który walczy o życie, zwykle nie macha rękami i nie krzyczy. Próbuje przede wszystkim utrzymać usta nad wodą. Zanurza się, połyka wodę, na chwilę wynurza i łapie oddech. – Osoba tonąca tonie po cichu. Może utonąć dwa metry od nas, a my nawet się nie zorientujemy – mówi Marek Frąckowiak z WOPR.

Na reakcję jest bardzo mało czasu. Według Frąckowiaka po zniknięciu człowieka pod wodą najważniejsze jest pierwsze 4-6 minut. Dlatego tak ważne jest, by pomoc była na miejscu od razu. Nawet najlepiej wyposażona grupa wodnonurkowa potrzebuje czasu, by dotrzeć nad jezioro.

– Zanim w godzinach szczytu strażacy dojadą z centrum Poznania do np. Jeziora Kierskiego, może minąć 30-40 minut. Wtedy nie mówimy już o akcji ratunkowej, tylko poszukiwawczej – tłumaczy.

WOPR przestrzega też przed rzucaniem się wpław na pomoc tonącemu, jeśli nie mamy odpowiedniego przygotowania. Osoba walcząca o życie może chwycić ratownika i wciągnąć go pod wodę. Najpierw trzeba zaalarmować osoby wokół, wezwać służby i znaleźć kogoś, kto potrafi bezpiecznie pomóc tonącemu.

Dziecka nad wodą trzeba pilnować

Nad Rusałką Jakub za jedno z największych zagrożeń uważa skoki z pomostu. Kilka osób skacze jednocześnie, podczas gdy tuż pod nimi ktoś pływa. Do tego woda pod pomostem ma miejscami około 1,6 metra głębokości. Skok na główkę może więc skończyć się ciężkim urazem.

Zdarza się też, że ludzie wchodzą do wody tuż obok kąpieliska, żeby ratownik nie zwracał im uwagi, że wypływają za daleko.

– Najbezpieczniej jest kąpać się na kąpielisku strzeżonym. Poza jego granicami możliwości ratownika są już ograniczone, bo jego podstawowym zadaniem jest pilnowanie bezpieczeństwa na samym kąpielisku – mówi podkom. Sammler.

– Nawet jeżeli jesteśmy na kąpielisku strzeżonym, to na rodzicach i opiekunach spoczywa obowiązek obserwowania dzieci – mówi podkom. Katarzyna Sammler z Komisariatu Wodnego Policji w Poznaniu

Szczególną uwagę policjanci i WOPR zwracają na dzieci. Frąckowiak mówi o rosnącej liczbie alarmów wszczynanych po zgłoszeniu, że dziecko zniknęło na zatłoczonej plaży. Powtarza się podobny scenariusz: dorosły na chwilę zajmuje się telefonem, po kilku minutach nie widzi dziecka i biegnie do ratowników przekonany, że mogło wejść do wody. Ratownicy opróżniają kąpielisko i rozpoczynają poszukiwania. Po chwili okazuje się czasem, że dziecko poszło na plac zabaw. W gorące dni takich zgłoszeń może być kilka. – Nawet jeżeli jesteśmy na kąpielisku strzeżonym, to na rodzicach i opiekunach spoczywa obowiązek obserwowania dzieci – przypomina Sammler. – Nie może być tak, że rodzice leżą na kocu, śpią albo piją alkohol, a dziecko samo znajduje się przy wodzie.

Ratownik patrzy na całe kąpielisko. W upalny dzień może mieć przed sobą setki ludzi.

– To my odpowiadamy za własne dzieci – mówi policjantka. – Jeżeli jest grupa dorosłych, niech chociaż jedna osoba pozostanie trzeźwa.

REKLAMA 0011563965



eprasa.pl 91b9e96d45

SPOŁECZEŃSTWO

7-letni chłopiec 6 minut leżał na dnie basenu. Nikt nie widział...

Jak to się stało, że przez prawie 10 minut nikt nie zauważył tonącego w aquaparku 7-letniego chłopca? Sprawę wyjaśnia prokuratura, a rodzice zastanawiają się czy ich dzieci na zorganizowanych wakacjach na pewno są bezpieczne.

Matylda Witkowska



FOT. GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Po wypadku w aquaparku osoby odpowiedzialne za 7-latka zrezygnowały z pracy

Do tragicznego wypadku doszło w poniedziałek (27 lipca) w Aquaparku Fala w Łodzi. Właśnie zaczynał się nowy turnus letnich Wakacji na Fali. Dzieci przyszły do aquaparku wcześnie rano, zjadły śniadanie, o godz. 9 zaczęły zajęcia w wodzie z podziałem na grupy. Tuż przed godz. 10 doszło do tragicznej sytuacji – 7,5 -letni chłopczyk zaczął tonąć podczas zajęć w basenie sportowym.

Dramatyczną walkę chłopca o życie nagrały kamery monitoringu - dziecko przez trzy minuty próbowało utrzymać się na powierzchni „spławikując", czyli kolejno wynurzając się i zanurzając w wodzie. Potem opadło na dno basenu i... leżało tam przez sześć minut, przez nikogo niezauważone.

Leżącego na dnie chłopca dostrzegł dopiero przypadkowy klient Aquaparku Fala, złapał je i na własnych rękach wyniósł na brzeg basenu. Do 78-letniego Łodzianina dotarło po tragedii Radio Łódź. Okazało się, że senior płynął innym torem i kątem oka zauważył leżącego na dnie chłopca. Podpłynął do niego i pluskających się tuż obok dzieci.

- Pytam się, dlaczego tak długo leży pod wodą. Wzruszają ramionami, nie wiedzą. To szybko pod wodę i wyjąłem to dziecko – relacjonował w rozmowie z reporterką Radia Łódź.

Stan skrajnie ciężki

Wyniesionym na brzeg chłopcem zajęli się ratownicy i wezwane na miejsce pogotowie. Po trwającej aż pół godziny resuscytacji siedmiolatek został odwieziony do Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. To duży szpital, specjalizujący się m. in. w pomocy dzieciom w trudnych medycznie przypadkach. Chłopczyk trafił na oddział intensywnej terapii, gdzie został wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej. Lekarze drugi tydzień walczą o jego życie.

- Cały czas trwa leczenie. Chłopiec jest w stanie skrajnie ciężkim, a nawet – krytycznym. Ten stan od półtora tygodnia się nie zmienił – informuje Adam Czerwiński, rzecznik prasowy szpitala.

Lekarze nie ukrywają, że sytuacja dziecka, które było pod wodą aż sześć minut jest trudna. Dla rokowań decydujący będzie stan mózgu chłopca po niedotlenieniu wynikającym z przebywania pod wodą. Ma to być sprawdzone podczas badania rezonansem magnetycznym.

Wiadomo jednak, że tak długie przebywanie pod wodą mogło mieć katastrofalne skutki. Z powodu braku tlenu po kilku minutach przebywania pod wodą dochodzi do nieodwracalnych zmian w mózgu, a w dalszej konsekwencji do śmierci. Czas pozwalający na uratowanie tonącego może się nieznacznie różnić, w zależności od takich czynników, m. in. temperatury wody czy wieku. Jednak szybka pomoc jest kluczowa.

Jak to możliwe, że nikt walczącym o życie dzieckiem się nie zainteresował? To pytanie od kilku dni zadaje sobie w Łodzi wiele osób. Dokładnie bada to też Prokuratura Rejonowa Łódź-Polesie.

Czwórka ludzi patrzyła i nie widziała?

Wiadomo już, że w wewnętrznym basenie sportowym o głębokości 1,30 m przebywała grupa 12 dzieci ze swoją 24-letnią instruktorką. Kobieta miała cztery lata doświadczenia w prowadzeniu takich zajęć, dodatkowo towarzyszyła jej stażystka, dla której feralny dzień był pierwszym w pracy. Przy basenie sportowym czuwało też dwóch ratowników WOPR, którzy powinni byli obserwować taflę wody. To oznacza, że chłopiec tonął przy czwórce dorosłych, którzy powinni byli mu pomóc.

Nieco światła na kulisy wypadku rzucił program TVN „Uwaga". Reporterzy dotarli do ratowników Fali, którzy opowiedzieli o szczegółach. Według nich do tragedii doszło w wąskim przesmyku między basenami. Dodatkowo w tym miejscu miało dyżurować dwóch młodych ratowników, którzy nie znali jeszcze dobrze zakamarków Fali, na które trzeba szczególnie uważać.

- To było w mało widocznej części basenu, na którym było dużo osób – mówił reporterom TVN jeden z ratowników Fali.

Eksperyment ma wyjaśnić, dlaczego nie widzieli

Prokuratura jest jednak zdania, że miejsce tragedii powinno być dla dwóch ratowników dobrze widoczne. Czy tak rzeczywiście było, ma wyjaśnić eksperyment procesowy. Prokuratura chce odtworzyć warunki zdarzenia i sprawdzić, co naprawdę mogli widzieć ratownicy. Do basenu włożona będzie kukła imitująca ciało dziecka – najpierw na trzy minuty będzie położona na wodzie, a potem na sześć minut znajdzie się pod wodą. Na stanowiskach ratowników staną policjanci, którzy odnotują, czy jest ona widoczna.

Eksperyment będzie przeprowadzony w drugiej połowie września, bo... w basenie w którym doszło do tragedii właśnie zaczął się remont i nie będzie wody. Remont planowany był dawna planowana i nie ma związku ze sprawą, został też zaakceptowany przez prokuraturę.

Na razie prokuratura m. in. zabezpieczyła nagrania monitoringu z pływalni, obejrzała je, zatrzymała umowy dotyczące organizacji zajęć, przesłuchała kadrę pracującą tego dnia na basenie i sprawdziła, że osoby sprawujące nadzór nad dziećmi były trzeźwe. Postępowanie prowadzone jest w kierunku narażenia podopiecznego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia bądź ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. W razie zmiany stanu zdrowia dziecka kwalifikacja czynu może ulec zmianie.

Między Falą, WOPR-em i szkołami pływania

Wypadek zwrócił uwagę na skomplikowane relacje w branży ratownictwa wodnego w Łodzi. Wakacje na Fali organizowane były przez Aquapark Fala we współpracy z dwiema firmami: Ratownictwo Wodne Szkoła Pływania i Sportów Wodnych Milan Wilhelmi oraz Akademia Pływania Marta Wilhelmi.

Właściciel szkoły Milan Wilhelmi jest jednocześnie prezesem WOPR w Łodzi i szefem ratowników pracujących na Fali. Aquapark wynajmuje ich od firmy zewnętrznej bo nie ma możliwości samodzielnego prowadzenia dla nich szkoleń. Organizuje je Akademia Pływania.

Po wypadku kilkukrotnie rozmawialiśmy z Milanem Wilhelmim. „Zdaję sobie sprawę z powagi zaistniałej sytuacji. Nie chcę jej w żaden sposób komentować, w szczególności mając na uwadze dobro chłopca i Jego najbliższych oraz toczącego się postępowania. Deklaruję pełną współpracę ze wszystkimi organami, które wyjaśniają ten wypadek" - napisał nam w oświadczeniu.

Po wypadku Wakacjami na Fali zainteresowało się Kuratorium Oświaty w Łodzi. Fala te zajęcia nazywa „kursami", choć w praktyce to półkolonie – oprócz nauki pływania, podstaw ratownictwa i nurkowania dzieci mają opiekę od godz. 7 do 17, trzy posiłki, zabawy plastyczne, wycieczkę a raz na turnus nawet nocowanie na Fali. Tygodniowy kurs kosztuje 1200 zł, można zapisać już czterolatki.

Tymczasem zgodnie z przepisami każdy wakacyjny i feryjny wypoczynek młodzieży – poza zajęciami organizowanymi w szkole dla jej własnych uczniów – powinien być zgłoszony do kuratorium. Dotyczy to też półkolonii, zajęć rozwijających zainteresowania, a także form typu „lato w mieście". Tymczasem Wakacji na Fali nikt nie zgłosił. Dlatego łódzkie kuratorium zapowiedziało kontrolę.

Tymczasem lato w Aquaparku Fala trwa dalej. Po wypadku z zajęć zrezygnowało zaledwie około 5 proc. dzieci. Część kursantów jest zbyt młoda, by zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji, a rodzice nie zawsze mają inne opcje zapewniania im opieki.

Na Fali jest bezpieczniej . Aquapark Fala przeprowadził z ratownikami rozmowy, a kierownik obiektu ma częstsze obchody – kiedyś odbywały się co godzinę, teraz są co 30 minut. Po wypadku osoby odpowiedzialne tego dnia za 7-latka na własną prośbę zrezygnowały z dalszej pracy. Milan Wilhemi zapewnił im wsparcie psychiczne.

eprasa.pl 91b9e96d45

POPKULTURA SOCJALISTYCZNA



FOT. CC

Czechosłowacki serial animowany „Sąsiedzi" oglądały w latach socjalizmu całe rodziny

Pat i Mat, realny socjalizm i czeskie poczucie humoru

Fenomen polskiej recepcji czeskiej animacji „Sąsiedzi" zasługuje na oddzielne studia socjologiczne. Właśnie mija 50 lat od premiery pilotowego odcinka serialu

Mariusz Grabowski

Widzowie poznali fachowców Pata i Mata – dwóch bohaterów „Sąsiadów" – 12 sierpnia 1976 r. Z czasem ich przygody, głównie piętrząca się demolka i partactwo, stały się symbolem życia w realnym socjalizmie.

Niezgrabiasze

Pat i Mat, obaj łysi, obaj w groteskowych czapeczkach i obaj mający dwie lewe ręce do najprostszych czynności budowlanych, w ogóle się nie odzywają – wydają z siebie jedynie odgłosy i pomruki. Nie muszą mówić, zajęci są bowiem demolowaniem otoczenia. Owa niewiarygodna wręcz niezręczność manualna to główny motyw serialu. Ale ich cechą jest także humor i optymistyczne podejście do życia. Dwójka bohaterów uparcie podejmuje wyzwania i nie poddaje się, aż znajdzie rozwiązanie problemu, zwykle obracając otoczenie w perzynę.

Oglądający mają poczucie uczestnictwa w ich siermiędze, a następnie w finałowych wzlotach nastrojów. Zarówno wtedy, gdy podejmują się remontu domku czy gdy jadą na majówkę. Zresztą żyjący w socjalizmie mieli wokół siebie całe zastępy podobnych fachowców, zatem można powiedzieć, że serial dotykał rzeczywistości w stopniu adekwatnym.

O ile Czesi patrzyli i patrzą na Pata i Mata, co zrozumiałe, z czułością, to w przypadku Polaków pojawia się wiele dodatkowych elementów. „Sąsiedzi" pojawili się w Polsce dość późno, wraz z upadkiem komuny, i wpisali się doskonale w stereotyp naszego postrzegania Czechów. Balansuje on między sympatią a lekceważeniem, co można sprowadzić do chwytliwego hasła: „Szwejk, piwo i knedliki".

Ze stereotypami nie da się wygrać. Bywają tak trwałe, że kształtują postrzeganie rzeczywistości na pokolenia. Na przykład gdy w odcinku „Deszcz" Pat i Mat rozpoczynają epopeję łatania dachu, doprowadzając w konsekwencji do całkowitej destrukcji budynku, polscy widzowie widzą w tym nie tylko sytuacyjny absurd. Nieuchronnie pojawiają się odniesienia historyczne, kulturowe i mentalne.

Szwejk jest wieczny

Jak dowodzi Joanna Korbut w rozprawie „Stereotypy o Czechach w polskiej przestrzeni publicznej" („Studia Linguistica", 2024), na twórczość Czechów patrzymy na ogół przez pryzmat tradycji humorystyczno-komediowych, stąd w funkcjonujących stereotypach odwołania do czeskiego poczucia humoru, wojaka Szwejka, czeskich komedii. Bohater powieści Haszka dla większości Polaków jest synonimem Czecha – tchórzliwego, beztroskiego, ceniącego sobie spokój oraz lubiącego alkohol, a jego strategia „przeżycia za wszelką cenę" jednych pociąga, innych zaś odpycha.

Do tego – pisze Korbut – dodać należy odbicia stereotypów narodowych w różnych zjawiskach językowych. „Polskie frazeologizmy, w skład których wchodzi przymiotnikowy komponent »czeski«, niemal automatycznie otrzymują znaczenie negatywne (np. czeski film, czeski błąd), podczas kiedy niefrazeologiczne znaczenie ww. przymiotnika jest w Polsce zdecydowanie pozytywne".

„Dodajmy do tego, że dla pokoleń PRL-u »czeskość« stanowiło skojarzenie z Vondráčkową czy Gottem, co jest jest oczywiście znaczącym uproszczeniem, ale w/w wykonawcy »oznaczali« (i w dużym stopniu oznaczają nadal) kulturę i zabawę na wysokim poziomie. Wydarzenia kulturalne z ich udziałem zawsze cieszyły się ogromną popularnością wśród Polaków" – dodaje autorka rozprawy.

W podobnym kierunku podąża myśl przewodnia tekstu „Polsko-czeska współpraca kulturalna. Co nas łączy, a co dzieli?", którego autorką jest Sylvie Vůjtková. „Specyficzny humor, ironia i umiejętność obracania w żart wszystkiego w każdej chwili, żartowania zwłaszcza z siebie, to najbardziej charakterystyczna cecha czegoś, co można by nazwać »czeską naturą narodową«. O ile naprawdę wierzymy w taką koncepcję. Na tym właśnie polega największa różnica między sąsiadami czeskimi i polskimi".

Dalej autorka pisze: „Pomiędzy południowymi, przyzwyczajonymi do dbania o siebie i nieufających nikomu innemu, a północnymi, posiadającymi swoją szlachecką, niestety wiarygodną i troskliwą władzę, aż do początku XX wieku. To jeden z powodów, dla których Polak może być dumny ze swojego narodowego dziedzictwa, podczas gdy Czech może podchodzić do życia przez pryzmat (auto)kpiny".

Sąsiedzi przy kuflu

Przeciętny Czech w polskich oczach jest zadziwiająco zbliżony do bohatera powieści Haszka: jowialny pan z brzuszkiem, z nieodłącznym kuflem piwa w ręku. Musi być on oczywiście dowcipny (przecież mówi tak śmiesznym językiem), ponadto, jak każdy Czech, jest uprzejmy, przyjemny, pacyfistyczny (aż do tchórzostwa), lubi porządek, interesuje się sportem, nie wierzy w Boga, jest tradycjonalistą.

Gdyby Pat i Mat nie byli tylko bohaterami animacji dla dzieci, a także gdyby chciało im się cokolwiek mówić, pasowaliby do powyższego opisu jak ulał. Po dokonaniu kolejnej demolki siedzieliby zapewne popołudniami w piwiarni i dyskutowali o gulaszu, husytach i o tym, jak najszybciej poddać się wrogom.

Jak wyznaczyć moment, w którym „Sąsiedzi" stali się w Polsce zjawiskiem godnym odnotowania przez badaczy? Zapewne od chwili, gdy na stałe zagościli na portalach społecznościowych. Są bohaterami komentarzy, ocen i porównań, czasami wręcz zdumiewających. Np. na portalu Nonsensopiedia (utworzono tam hasło „Sąsiedzi") przyrównani są... do McGyvera, choć w negatywnym znaczeniu.

Pat i Mat są postaciami kojarzonymi z dzieciństwem, z wakacyjnymi podróżami do Czech, choć równie często szyderczo przyrównywani są do fachowców, z którymi uczestnicy życia social mediów mają do czynienia w realu: gazowników, kominiarzy czy hydraulików. Innymi słowy: Pat i Mat nie są w Polsce anonimowi. Żyją jako źródło licznych memów, przeróbek i filmowych składanek, pojawiali się też w kilku reklamach, m.in. propagując sprzedawanie po sąsiedzku niepotrzebnych rzeczy. W grudniu 2024 r. Muzeum Narodowe w Gdańsku na hasło „Sąsiedzi" lub „Pat i Mat" oferowało w kasie „zniżkę na bilet 15 proc.". Oferta kierowana była dla czeskich turystów podróżujących Baltic Expressem do Trójmiasta.

Czując się jak Pat

Można zatem powiedzieć, że Pat i Mat są nad Wisłą nie tylko rozpoznawalni, ale również lubiani. Odkryto również ich potencjał gamingowy. Gdy w 2008 r. w czeskim studiu Centauri Production powstała gra komputerowa „Pat & Mat: The Game", stała się popularna także w Polsce. Co ciekawe, celem gry jest rozwiązywanie codziennych problemów technicznych, a to przecież nie było najmocniejszą z cech bohaterów „Sąsiadów".

„Każdy, z pozoru wydawałoby się najprostszy nawet problem – czytamy w recenzji gry – wymaga analizy i działania z reguły przekraczającego zasady zdroworozsądkowe. Rozwiązanie niektórych problemów wymusza przełączenie się pomiędzy postaciami. Dzięki temu rozgrywka staje się jeszcze trudniejsza, ponieważ każdy z głównych bohaterów dysponuje różnymi zdolnościami i umiejętnościami".

Wróćmy jeszcze do 1976 r. i pilotowego odcinka serialu pt. „Kuťáci" („Majsterkowicze"). Otóż okazuje się, że wywołał on w Czechosłowacji małe polityczne trzęsienie ziemi. Poszło o kolory koszulek bohaterów, czerwony i żółty, które nawiązywać miały rzekomo do napiętych wówczas relacji radziecko-chińskich. W 1969 r. doszło do incydentów granicznych nad Ussuri i od tego czasu oba państwa patrzyły na siebie wrogo. Czerwona koszulka reprezentowała rzecz jasna ZSRR, a żółta Chiny.

Cała sprawa wydaje się dziś jedynie atrakcyjnie spreparowaną legendą, ale faktem jest, że w odcinkach wyprodukowanych w latach 1979-1985 twórcy serialu zmuszeni byli zmienić koszulę Mata z czerwonej na szarą. Ostatnim odcinkiem, gdzie Mat nosi szary ciuszek, jest „Jabłko" z 1985 r. Po upadku komuny Mat, od odcinka „Klucz" z 1989 r., ponownie paraduje w czerwieni.

eprasa.pl 91b9e96d45

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY



Poleca
Mariusz Grabowski

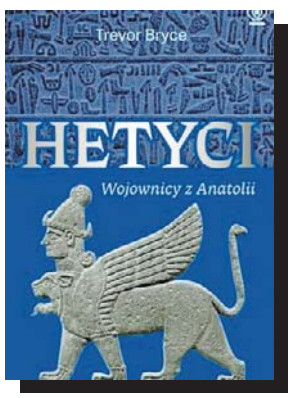

Bliskie spotkanie z Hetytami

Trevor Bryce, filolog klasyczny z australijskiego Queensland, nie bez powodu nosi tytuł „głównego hetytologa". Jego wywód o Hetytach to opowieść o jednej z najbardziej tajemniczych starożytnych cywilizacji sprzed ponad trzech tysięcy lat. Wciągająca, lecz jednocześnie niosąca gorzką prawdę o zmienności świata.

Bryce analizuje historię, kulturę społeczną, religijną i polityczną tego państwa ze stolicą w Hattusa (dzisiejsze Boğazkale w Turcji), ukazując Hetytów jako niepokonanych wojowników, mistrzów walki na rydwanach, którzy niemal zmiażdżyli Ramzesa II w bitwie pod Kadesz w 1274 r. p.n.e., gorliwych wyznawców licznego panteonu bogów (kto nie był wierzący, szedł pod miecz), a nawet twórców nowego systemu dyplomatycznego.

W okresie swojej największej świetności Hetyci kontrolowali Anatolię, północną Mezopotamię, Syrię i Palestynę. Państwo Hetytów upadło około 1200 p.n.e., zapewne pod naporem Ludów Morza, chociaż nieliczne hetyckie miasta-państwa w północnej Syrii przetrwały – jeśli wierzyć tezom Bryce'a – jeszcze do roku 708 przed Chrystusem.

Trevor Bryce, „Hetyci. Wojownicy z Anatolii", wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 89 zł



Warszawa pod panowaniem carów

Panorama Warszawy I połowy XIX w. To właśnie wtedy ukształtowało się tu zjawisko, które autorka nazywa „świadomością romantyczną" ówczesnego Królestwa Polskiego.

Alina Kowalczykowa, „Warszawa romantyczna", wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 69 zł

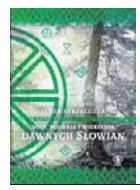

Lelum, Polelum i inne osobistości

Prof. Jerzy Strzelczyk kreśli obraz wyobrażeń naszych przodków, którzy w otaczającej ich rzeczywistości widzieli panteon bóstw, demonów i istot nadprzyrodzonych.

Jerzy Strzelczyk, „Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian", wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 69,99 zł

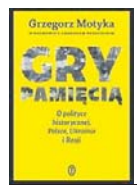

Czym jest i czym powinna być „polityka pamięci"

Czy wobec rzezi wołyńskiej, UPA czy akcji „Wisła" – pyta Grzegorz Motyka – budowanie trwałego dialogu polsko-ukraińskiego ma sens?

Grzegorz Motyka, „Gry pamięcią. O polityce historycznej, Polsce, Ukrainie i Rosji", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 59,99 zł



Funkcjonariuszy dzień powszedni

17 artykułów o działaniach UB w Małopolsce wobec podziemia zbrojnego, opozycji, kościołów, mniejszości żydowskiej, volksdeutschów i pospolitych przestępców.

„Miecz i tarcza»ludowej« władzy w Małopolsce", wyd. IPN, Kraków 2026, cena 65 zł



O legendarnym uporze prof. Estreichera

Portret profesoraKarola Estreichera, dzięki któremu do kraju powróciły po wojnie ołtarz Wita Stwosza z Kościoła Mariackiego czy słynne arrasy wawelskie.

Tomasz Siewierski, Artur Wójcik, „Karol Estreicher", wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 75 zł



„To ja jestem facetem, który napisał »Suzanne«"

Christophe Lebold, francuski badacz i wykładowca, podjął się tytanicznego zadania rozszyfrowania postaci Leonarda Cohena. 570 stron i sporo niespodzianek.

Christophe Lebold, „Leonard Cohen. Świadek upadku aniołów", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 99,99 zł

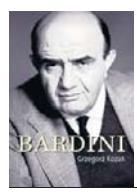

Śladami Aleksandra Bardiniego

„Bardini" Grzegorza Kozaka to pierwsza tak wnikliwa podróż przez meandry losu Aleksandra Bardiniego – mistrza sceny, pedagoga i telewizyjnego erudytę.

Grzegorz Kozak, „Bardini", wyd. Czytelnik, Warszawa 2026, cena 84 zł



„Byliśmy małżeństwem przez 43 lata"

Siri Hustvedt, amerykańska pisarka i eseistka, zaprasza czytelników do swojego intymnego świata po śmierci ukochanego męża Paula Austera.

Siri Hustvedt, „Księga duchów", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 69,99 zł



Szlakiem włoskich wulkanów

Paolo Rumiz zabiera nas w podróż od skąpanej w słońcu Sycylii aż po majestatyczne Alpy, łącząc fakty geologiczne z refleksjami na temat ludzkiej egzystencji i kultury.

Paolo Rumiz, „Głosy z głębi. Nieoczywista podróż przez Włochy", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 64,99 zł

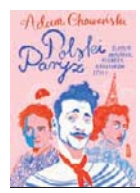

Czy Adam Mickiewicz lubił Paryż?

To znacznie więcej niż zwykły bedeker – to analiza historyczna i kulturowa śladami tych, którzy wnieśli wkład w dziedzictwo Polski, a swoje życie związali z Paryżem.

Adam Chowański, „Polski Paryż. Śladem malarek, pisarzy, kreatorów stylu", wyd. Znak, Kraków 2026, 69,99 zł

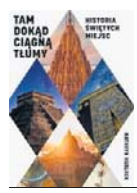

O ludzkiej potrzebie pielgrzymowania

Jerozolima, Mekka, ale także Jasna Góra oraz Lourdes. Opowieść o tym, jak miejsca kultu przyciągają tłumy, ale także jak się zmieniły pod wpływem pielgrzymów.

Kathryn Hurlock, „Tam, dokąd ciągną tłumy. Historia świętych miejsc", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 109,99 zł



Letnia wędrówka po La Manchy

Książka Williama Marxa, oparta o jego audycje radiowe, składa się z 44 krótkich rozdziałów. Każdy zaś oferuje oryginalne spojrzenie na arcydzieło Cervantesa.

William Marx, „Lato z don Kichotem", wyd. Noir Sur Blanc, Warszawa 2026, cena 49 zł



„W", czyli nie igra się z lewicowym dogmatem

Thriller polityczny, w którym nic nie jest tym, czym się wydaje, a prawda wychodzi na jaw dopiero na ostatniej stronie. A lewicowa prawda zawsze jest gorzka.

Igor Štiks, „W", wyd. Noir Sur Blanc, Warszawa 2026, cena 59 zł



Ulica Szmaragdowa i inne obrazki

Niekonwencjonalna forma „Genu marzenia" pióra poety Józefa Barana wymyka się sztywnym ramom gatunkowym. Z wielkim pożytkiem dla czytelników.

Józef Baran, „Gen marzenia", wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 65 zł



Labirynt kobiecości po japońsku

Eriko zdaje się mieć wszystko: urodę, szmal i dyplom z paskiem. Ale i ona zmaga się z wewnętrznymi demonami, aż strach bierze...

Asako Yuzuki, „Połów. Czyli jak wyhaczyć przyjaciółkę", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 59,90 zł

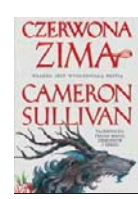

Lubisz „Wiedźmina"? To musisz przeczytać

Przenieś się do XVIII-wiecznej Francji, gdzie mrok czai się w leśnych ostępach, a legendy ożywają, by siać strach i spustoszenie.

Cameron Sullivan, „Czerwona zima", wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 79 zł

eprasa.pl 91b9e96d45

PUPIL ROKU 2026

Oto bohaterowie kolejnych opowieści o przyjaźni

(kb)

W życiu, jak to w życiu - czasem jest słońce, a czasem deszcz. Ale nasze ukochane zwierzaki są z nami każdego dnia! Wiernie czekają na nasz powrót do domu, witając nas z ogromną radością już od progu. Wyczuwają nasze emocje. Potrafią rozbroić jednym spojrzeniem i bez słów poprawić humor nawet po najtrudniejszym dniu.

Bywają najlepszym przyjacielem, są pełnoprawnym członkiem wielu rodzin. Zostawiają w naszym życiu ślad, którego nie da się niczym zastąpić... Uczą nas bezwarunkowej miłości, cierpliwości, odpowiedzialności i czerpania radości z małych rzeczy. My też zgadzamy się z tym, że dzięki nim każdy dom staje się cieplejszy, a codzienność nabiera kolorów.

Każdy opiekun wie, że jego pupil ma własny charakter, ulubione zwyczaje, zabawne nawyki i niepowtarzalną historię. To właśnie one również sprawiają to, że więź między człowiekiem a zwierzęciem jest tak wyjątkowa, zostawiająca taki ślad w sercu.

Tak wyjątkowa, że co roku tworzymy galerię Waszych pupili. Pokazujecie nam swoich psich i kocich przyjaciół, a także inne zwierzaki, które zajmują szczególne miejsce w Waszym życiu. Przesyłacie ich zdjęcia i opowiadacie kilka słów o tym, jak mają na imię, ile mają lat, co najbardziej lubią i dlaczego są tak ważne dla Waszej rodziny. - A zwierzęta są domownikami, powiernikami sekretów. Towarzyszami codzienności i źródłem wielkiej radości. Wspierają w trudnych chwilach, rozśmieszają, uczą cierpliwości i przypominają, że szczęście często kryje się w prostych gestach, choćby w dotyku zimnego noska - mówi Katarzyna Adamczyk, która od strony redakcyjnej opiekuje się akcją Pupil Roku 2026. Jak dodaje dziennikarka: - Każdy opiekun wie, że jego pupil ma wyjątkowy charakter, własną historię i mnóstwo związanych z nią wspomnień, dlatego co roku pokazujemy światu Wasze psy, koty i inne ukochane zwierzaki. A tym razem poprosiliśmy właścicieli również o to, by pochwalili się swoimi niezwykłymi przyjaciółmi - opowiedzieli o nich kilka słów i zaprezentowali je naszym czytelnikom. Tydzień temu poznaliście bliżej pierwszych uczestników Pupila Roku 2026, a dziś zapraszamy do poznania kolejnych wyjątkowych historii zwierząt, które biorą udział w naszej akcji. Tak powstaje piękna opowieść o przyjaźni, oddaniu i codziennych chwilach, które udowadniają, że zwierzęta nie tylko towarzyszą nam w życiu, ale często czynią je po prostu lepszym.

KATEGORIA - PIES



Dyzio, Rafał Kaszuba
powiat makowski

Każdy, kto ma psa, zna to uczucie, kiedy po ciężkim dniu ktoś czeka na niego po drugiej stronie drzwi. Dla Rafała Kaszuby takim codziennym powitaniem jest merdający ogon Dyzia. Czteroletni psiak doskonale wyczuwa moment powrotu swojego opiekuna i nie kryje radości, gdy tylko słyszy znajome kroki. - Mój pupil sprawia, że czeka na każde moje przyjście z pracy i na każdy mój gest. Gdy jestem w pobliżu, zaczyna merdać ogonkiem i czeka przy drzwiach. Gdy zostaje sam w domu, nie robi nic złego ani żadnego bałaganu - opowiada Rafał Kaszuba. Choć takich wspólnych chwil było już wiele, jedna szczególnie zapadła właścicielowi w pamięć. Pokazała, że psy naprawdę potrafią wyczuwać ludzkie emocje. - Pamiętam, jak mój Dyzio miał roczek, a ja płakałem. Przyszedł do mnie, przytulił się i wyglądał, jakby sam miał łzy w oczach. Nie opuszczał mnie ani na krok - wspomina.

KATEGORIA - KOT



Mała Mi, Nina Kurach
powiat garwoliński

Jak opowiada Nina Kurach, Mała Mi nie tylko uwielbia bliskość człowieka, ale potrafi też zaskakiwać swoją pomysłowością. - Mój kot pojawił się w moim życiu niepostrzeżenie, a z czasem stał się kimś znacznie więcej niż tylko zwierzęciem. Był cichym towarzyszem moich dobrych i trudnych dni. Nigdy nic nie mówił, ale zawsze wiedział, kiedy usiąść obok, wtulić się i swoim mruczeniem przypomnieć, że nie jestem sama. To właśnie z takich małych chwil rodzą się najpiękniejsze wspomnienia. Czas mija, ale ślady małych łapek pozostają na zawsze – nie na podłodze, lecz w sercu - mówi Nina Kurach. Dla właścicielki Mała Mi jest kimś znacznie więcej niż domowym pupilem. - Dom bez kota wydaje mi się niepełny. Jego mruczenie potrafi ukoić po trudnym dniu, zabawne pomysły wywołują uśmiech, a obecność daje poczucie, że zawsze ktoś na mnie czeka. Kot nie kocha na pokaz, ale kiedy obdarzy zaufaniem, robi to całym swoim sercem - podsumowuje Nina Kurach.

KATEGORIA - INNE ZWIERZĄTKO



Lola,
Marta Mazur

Wiele osób uważa, że króliki to zwierzęta, które najlepiej czują się we własnym towarzystwie i nie przepadają za bliskim kontaktem z człowiekiem. Lola skutecznie obala ten mit i każdego dnia udowadnia, że potrafi zaskoczyć nie tylko swoim urokiem, ale również inteligencją. Od kiedy trafiła do domu Marty Mazur, każdego dnia pokazuje, że potrafi z ogromnym zaufaniem budować relację ze swoją właścicielką. - Lola jest moim ukochanym króliczkiem. Została adoptowana. Ma dokładnie rok i 9 miesięcy. U mnie w rodzinie jest od 6. miesiąca swojego życia - opowiada Marta Mazur. Wspólna nauka nowych sztuczek i codzienny kontakt sprawiły, że między właścicielką a Lolą powstała wyjątkowa więź. - Lola uwielbia głaskanie, a nie za wiele królików to toleruje. Umie dużo komend, których na bieżąco się uczymy, między innymi: „zostań", „chodź", „poproś" i „leżeć". Lola zachowuje się jak pies i jest bardzo wierna - mówi Marta Mazur.

Groomer Roku

1. **Agnieszka Olczak,** My Dog Groom&Collection, Warszawa
2. **Joanna Kostka,** Salon PSYTNIJ, Łomianki
3. **Katarzyna Sinicyn,** Wyczesany Pies, Izabelin

Sklep Zoologiczny Roku

1. **Koliberek,** Warszawa, Płowiecka 27
2. **Aquael Zoo,** Radom, Wojska Polskiego 10
3. **Aquael Zoo,** Janki, Mszczonowska 3

Weterynarz Roku

1. **Magdalena Szyrmer,** ŻKW Przychodnia Weterynaryjna Grupa EDINA, Warszawa
2. **Dorota Morawska,** Przychodnia Weterynaryjna Morawscy, Podkowa Leśna
3. **Ewa Kautz-Wasilewska,** VetDoktor & Instytut Profilaktyki i Leczenia Nowotworów Zwierząt, Warszawa

Behawiorysta/Trener Zwierząt Roku

1. **Beata Węgrzyn,** B-Happy Tails, Warszawa
2. **Karolina Adarek,** Dog School, Radom
3. **Agata Wąsowska,** Pies na uniwerku, Warszawa

Czytaj więcej o akcji na polskanews.pl/pupil

eprasa.pl 91b9e96d45

WARSZAWA

Audyt obnażył problemy w Szpitalu Południowym

Dyżury trwające nawet 110 godzin bez przerwy, wynagrodzenia wypłacane za pracę w dwóch miejscach jednocześnie i ponad pół miliona złotych korekt rozliczeń. Audyt ratusza ujawnił szereg nieprawidłowości w Szpitalu Południowym

Jan Żelaźniak

Kontrola przeprowadzona przez stołeczny ratusz objęła wszystkie miejskie szpitale, jednak to Szpital Południowy przy ulicy Rotmistrza Witolda Pileckiego 99 wzbudził największe zastrzeżenia. Jak poinformował w środę prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, placówka otrzymała 44 konkretne zalecenia, które są już wdrażane.

Jak zaznaczył, w pozostałych miejskich szpitalach wykryto głównie uchybienia formalne. Sam audyt nie dotyczył jakości leczenia pacjentów, lecz sposobu zarządzania placówkami.

Niekończące się dyżury

Jednym z najbardziej szokujących ustaleń audytu okazał się czas pracy lekarzy kontraktowych. Jak podkreślił Trzaskowski, przepisy dotyczące obowiązkowego odpoczynku nie obejmują osób pracujących na kontraktach.

Kontrola wykazała dyżury trwające 48, 60, 72 godziny, a rekordzista miał pracować 110 godzin bez przerwy, czyli niemal pięć dób. Jeden z lekarzy przepracował także blisko 400 godzin w ciągu miesiąca.

Audyt wykazał również nieprawidłowości związane z funkcją koordynatora SOR-u. Jak wskazał prezydent Warszawy, to stanowisko przez długi czas nie istniało w regulaminie organizacyjnym szpitala, mimo że placówka wypłacała za prace nad nim wysokie wynagrodzenie.

Stawka miała wzrosnąć z 230 zł do 330 zł za godzinę, przewyższając wynagrodzenie doświadczonych specjalistów, choć funkcję pełnił lekarz będący na drugim roku specjalizacji.



FOT. PAP

110 godzin pracy bez przerwy. Audyt obnażył problemy w Szpitalu Południowym

Pół miliona złotych korekt

Kontrolerzy wykryli także przypadki rozliczania pracy w dwóch miejscach w tym samym czasie, co skutkowało wypłatą wynagrodzenia za oba świadczenia jednocześnie.

Według Trzaskowskiego jedna z osób miała również możliwość samodzielnego zatwierdzania własnych dokumentów rozliczeniowych oraz edytowania grafików będących podstawą wypłat. Po ujawnieniu sprawy złożono 33 korekty rachunków na ponad pół miliona złotych.

Prezydent zaznaczył, że większość wykrytych nieprawidłowości dotyczy jednego lekarza, który nie pracuje już w Szpitalu Południowym.

Audyt wykazał także, że szpital posiadał elektroniczny system rejestracji wejść i wyjść, jednak nie wykorzystywał go do rozliczania czasu pracy.

Kontrolerzy zwrócili również uwagę na brak pełnej dokumentacji potwierdzającej obecność wymaganych lekarzy podczas niektórych dyżurów oraz zbyt małą obsadę rejestracji SOR.

Po zakończeniu audytu miasto zapowiedziało wprowadzenie nowych zasad we wszystkich stołecznych szpitalach. Obowiązkowa ma być elektroniczna rejestracja rzeczywistego czasu pracy lekarzy, a każda funkcja będzie musiała znaleźć odzwierciedlenie w dokumentacji.

Ratusz chce również wprowadzić limity finansowe w umowach, obowiązek pisemnego uzasadniania podwyżek oraz zapewnić pełną obsadę lekarzy systemu na każdym dyżurze.

Sprawą zajmuje się prokuratura

W związku z nieprawidłowościami prowadzone są dwa śledztwa. Jedno dotyczy podejrzenia oszustwa na kwotę ponad pół miliona złotych, drugie – nadużycia uprawnień przez funkcjonariusza publicznego.

Oprócz audytu miejskiego w Szpitalu Południowym trwają również kontrole prowadzone przez Narodowy Fundusz Zdrowia, a placówkę sprawdzi także Państwowa Inspekcja Pracy.

Audyty zostały zlecone po publikacjach portalu Zero.pl dotyczących byłego koordynatora SOR-u i byłego radnego KO Dawida Kacprzyka, którego działalność stała się przedmiotem zainteresowania organów ścigania. **PAP**

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy. 601-585-510 www.danaustronie.pl

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

Zdrowie

ZABIEGI

BUSKO-ZDRÓJ, Pensjonat Sanato Pobyty lecznicze i wypoczynkowe w promocyjnych cenach. Zadzwoń już dziś: 41-378-19-48 lub 696 -958- 319 www.santo.com.pl

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/ tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

WARSZAWA

Latarnie w Warszawie czeka wielka zmiana. Nie będą już tylko oświetlać ulic

Greta Sulik

Stolica podpisała umowę na wdrożenie inteligentnego systemu zarządzania oświetleniem ulicznym, który w ciągu najbliższych lat obejmie ponad 110 tysięcy miejskich latarni,

Wyobraź sobie, że wracasz wieczorem do domu. Nad chodnikiem świeci niby zwykła latarnia, ale jednocześnie monitoruje jakość powietrza, mierzy poziom hałasu, a w przyszłości może nawet zasilać rower lub hulajnogę elektryczną. Jeszcze kilka lat temu taka wizja wydawała się futurystyczna. Dziś Warszawa mówi o niej całkiem serio.

Stolica właśnie zrobiła pierwszy krok. Za blisko 79 mln zł powstanie system, który w ciągu najbliższych lat obejmie ponad 110 tys. miejskich latarni. Nie chodzi jednak wyłącznie o sterowanie oświetleniem. To fundament pod rozwój kolejnych inteligentnych usług, które z czasem mogą pojawić się na ulicach Warszawy.

W planach jest wykorzystanie infrastruktury latarni m.in. do montażu punktów ładowania lekkich pojazdów elektrycznych, czujników jakości powietrza, mierników hałasu czy elementów miejskiej infrastruktury telekomunikacyjnej.


FOT. REDAKCJA

Latarnie mogą stać się inteligentnymi urządzeniami

Dzięki inteligentnym kontrolerom każda z ponad 110 tysięcy warszawskich latarni będzie mogła przekazywać informacje o swoim stanie praktycznie w czasie rzeczywistym. Gdy dojdzie do awarii, system wykryje ją automatycznie i natychmiast przekaże zgłoszenie służbom odpowiedzialnym za konserwację. Nowe rozwiązanie pozwoli również dostosowywać natężenie światła do pogody, zachmurzenia czy pory dnia. Jeśli ciemne chmury sprawią, że na ulicach zrobi się mrok jeszcze przed zachodem słońca, oświetlenie będzie mogło zostać uruchomione wcześniej.

eprasa.pl 91b9e96d45

SKOKI NARCIARSKIE

Z urokliwej Wisły przenosimy się do francuskiego Courchevel

Paweł Wiśniewski

Courchevel to jeden z najbardziej ekskluzywnych i prestiżowych kurortów narciarskich na świecie, położony we francuskich Alpach, w Sabaudii. To właśnie tutaj odbędą się kolejne zawody Letniej Grand Prix w skokach narciarskich.



FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

Pochodzący z gminy Goleszów, 19-letni Kamil Waszek, przebojem wdarł się do grona najbardziej obiecujących polskich skoczków

Courchevel i 132-metrowy obiekt „Tremplin du Praz" to drugi z czterech przystanków tegorocznej edycji Letniego Grand Prix w skokach narciarskich. Już w najbliższy weekend (8-9 sierpnia) na starcie zawodów zobaczymy aż sześcioro naszych reprezentantów.

Przypomnijmy, że tegoroczne zmagania rozpoczęły się w miniony weekend w Wiśle na obiekcie im. Adama Małysza. Dwukrotnie triumfował Japończyk Naoki Nakamura, a najlepszy wynik z Polaków uzyskał Kacper Tomasiak, zajmując w pierwszym konkursie 7. miejsce (drugiego dnia Kamil Waszek uplasował się na 6. miejscu, ale został zdyskwalifikowany z powodu nieprzepisowej szerokości nart).

Liderem klasyfikacji generalnej Letniej Grand Prix jest oczywiście Naoki Nakamura, który zgromadził już 200 punktów za wygranie dwóch konkursów Wiśle. Co ciekawe, najlepszym indywidualnym „zimowym" wynikiem Japończyka jest 3. miejsce w zawodach w Ruce w sezonie 2022/2023...

Drugie miejsce w „generalce" zajmuje Austriak Marco Wörgötter – 112 punktów, a trzeci jest Szwajcar Gregor Deschwanden – 110 pkt. Kacper Tomasiak zdobył 62 punkty plasuje się na ósmej pozycji.

Polski Związek Narciarski desygnował do rywalizacji w Courchevel Klemensa Joniaka, Macieja Kota, Kamila Waszka, Jakuba Wolnego i Aleksandra Zniszczoła. A to oznacza to, że nasz zespół nie wykorzysta sześcioosobowej kwoty startowej, która przysługuje nam na ten okres lata.

W rywalizacji pań sprawdzi się Anna Twardosz, która w Wiśle zajmowała 11. i 19. miejsce.

We Francji zabraknie Macieja Maciusiaka, który pozostanie w kraju na treningach z Dawidem Kubackim, Kacprem Tomasiakiem, Pawłem Wąskiem i Piotrem Żyłą. Jak przekazał główny szkoleniowiec reprezentacji, do Courchevel udadzą się Stefan Horngacher, Michal Doležal i Krzysztof Biegun.

Oficjalny „letni" rekord skoczni „Tremplin du Praz" HS 132 m należy od 2011 roku do Kamila Stocha (137 metrów).

Wszystkie konkursy w Courchevel można obejrzeć na platformie HBO Max, a transmisja zmagań panów będzie dostępna w Eurosporcie 4.

Program zawodów

- Piątek, 7 sierpnia 2026 r.:
  godz. 20.00 – odprawa techniczna.

- Sobota, 8 sierpnia 2026 r.:
  godz. 8.30 – oficjalny trening kobiet;
  godz. 10.30 – oficjalny trening mężczyzn;
  godz. 16.00 – pierwsza seria konkursowa kobiet;
  godz. 18.00 – pierwsza seria konkursowa mężczyzn.

- Niedziela, 9 sierpnia 2026 r.:
  godz. 9.00 – kwalifikacje kobiet;
  godz. 10.30 – kwalifikacje mężczyzn;
  godz. 16.00 – pierwsza seria konkursowa kobiet;
  godz. 18.00 – pierwsza seria konkursowa mężczyzn.

PIŁKA NOŻNA

Tylko jeden krok do raju. Polska będzie jeszcze bliżej elitarnej Ligi Mistrzów

Jacek Czaplewski

W tym roku mija dziesięć lat od ostatniego awansu polskiej drużyny w Lidze Mistrzów. Już wiemy, że w tę rocznicę kolejnego nie będzie, ponieważ w kompromitującym stylu z eliminacji odpadł Lech Poznań. Za rok senne marzenie może się jednak w końcu ziścić. Dlaczego?

Otóż w przypadku następnego mistrza Polski o awansie do fazy ligowej Champions League decydować będzie już tylko jeden dwumecz!

Liga Konferencji to rozgrywki trzeciej kategorii

Od kilku edycji polskie zespoły regularnie kwalifikują się do Ligi Konferencji. Rok temu mieliśmy w niej aż czterech przedstawicieli. To jednak rozgrywki trzeciej kategorii. Na szczycie niezmiennie pozostaje Liga Mistrzów oferująca niewyobrażalne wpływy do budżetu i mecze z gigantami. Do niej drzwi się nam zaryglowały.

Ostatnią drużyną, która wywalczyła awans, była bowiem Legia Warszawa – w 2016 roku. Kibice do dzisiaj wspominają hit z Realem Madryt zakończony remisem 3:3. Gdyby drużyna zachowała koncentrację do ostatniego gwizdka, to nawet odniosłaby sensacyjne zwycięstwo.

Lepsi byli Kazachowie, Słowacy i Cypryjczycy

Od tamtej pory nasze plany podboju Ligi Mistrzów kończyły się wyłącznie rozczarowaniami – zazwyczaj w drugiej lub trzeciej rundzie kwalifikacji. Legię wyeliminowali kolejno: kazachska Astana, słowacki Spartak Trnawa, cypryjska Omonia Nikozja i chorwackie Dinamo Zagrzeb. Dla Lecha za mocni byli azerski Karabach Agdam, serbska Crvena Zzvezda Belgrad i teraz duńskie Aarhus.

Jagiellonia przepadła z norweskim Bodo/Glimt, zaś Piast Gliwice, bo takiego mistrza Polski także przecież mieliśmy, z białoruskim BATE Borysów. Bogiem a prawdą najbliżej był Raków Częstochowa, który jako jedyny z tego grona dotarł do fazy play-off, przegrywając tylko o gola z duńską FC Kopenhagą.

I właśnie po czterech latach oczekiwania ponownie znajdziemy się od razu w decydującej rundzie. Dzięki dwunastemu miejscu w rankingu UEFA mistrz Polski zacznie bowiem walkę od fazy play-off.

20 milionów i mecze z Barcą na wyciągnięcie ręki

Zatem tylko jeden dwumecz dzielić będzie naszego czempiona od blisko 20 milionów euro premii za udział w fazie ligowej (to równowartość rocznego budżetu czołowych polskich klubów) i szansy na grę przeciwko Barcelonie, Realowi Madryt, Bayernowi Monachium czy PSG.

Na razie pozostaje nam zazdrościć. W nadchodzącej Lidze Mistrzów udział mają zagwarantowany Czesi (Slavia Praga), zaś tylko krok od piłkarskiego raju, tak jak nas w przyszłym roku, dzieli Austriaków (LASK Linz), Greków (AEK Ateny), Norwegów (Viking Stavanger) czy Szkotów (Celtic Glasgow).

SPORTY WALKI

Mateusz Gamrot w walce wieczoru! Szansa na umocnienie pozycji w rankingu

Jacek Łosak

Już w najbliższą sobotę Mateusz Gamrot stoczy kolejną walkę w oktagonie organizacji UFC. Dla Polaka będzie to szansa na drugie zwycięstwo z rzędu i umocnienie swojej pozycji w kategorii lekkiej.

Mateusz Gamrot walczył ostatni raz podczas jednej z kwietniowych gal UFC. Polak starł się z Estebanem Ribovicsem, którego zdominował i poddał w drugiej rundzie pojedynku. Dzięki tej wygranej „Gamer" powrócił na drogę zwycięstw po porażce zrąk Charlesa Oliveiry, byłego mistrza UFC.

W najbliższym pojedynku, który odbędzie się 8 sierpnia w Las Vegas, Mateusz Gamrot zmierzy się z młodym i niepokonanym w UFC Quillanem Salkilldem, który zajmuje 8. miejsce w rankingu najlepszych zawodników kategorii lekkiej UFC. Polak jest na pozycji 6.

Gamrot od dłuższego czasu przygotowywał się do walki, trenując na Florydzie, na macie klubu American Top Team i liczy, że dobry obóz przygotowawczy przybliży go do efektownej wygranej.

– Fajnie jest wygrać przed czasem, mamy przygotowane kilka rozwiązań – stwierdził Polak.



FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

Mateusz Gamrot jest byłym podwójnym mistrzem KSW. W swoim dorobku ma 31 stoczonych pojedynków, z których 26 wygrał

eprasa.pl 91b9e96d45

przesadna reakcja uczuciowa do zębów lub butów
rodzaj uprzęży
imię żony Donalda Trumpa
powóz konny
rutyniarz
płowy ptak
uchwyt w tokarce
Olga, polska noblistka
bóstwo słowiańskie
kartonik z ceną
szerokie ramiona
Hanna, autorka z filmu „Doktor Judym”
kropla smutku
Madryt lub Lizbona
dzieło kartografa
następca w rodzinie
mamona
Biblia
objaw przeziębienia
forsowny
rozpuszczalnik
wawelski stwór
handlowiec
część spłaty
utwór muzyczny
wytwarzanie mebli
zasłania scenę
ssak futerkowy, dydelf
próg w dolinie rzecznej
mały zawór
rzeka w Pikardii
poprawia sprzedaż towarów
spirytusowy lub winny
czarna choroba
konkurencja w strzelectwie sportowym
przechowywane w archiwum
zawijany kotlet
szturm, natarcie
zalewa do przetworów
drogowy przy szosie
środek uspokajający
towot do konserwacji
ogród z gruszami
miasto Świętego Franciszka
rodaczka Winnetou
dopływ Rodanu
chrust na podpałkę
Wilhelmi lub Kłosowski
cyrk lodowcowy
perski kobierzec
świąteczny dzień w judaizmie
głośne bicie serca
imię Farrow
Nikołaj, pisarz
stawka w grze hazardowej
gra mieszana w tenisie
imię Sari
sterta desek
sługa w cerkwi
Pakula lub Alda
biała na piwie
ludowy poeta turecki
personel sklepu
dawna spiżarnia
dawna stolica Egiptu
informacje na dysku
wierzba szara
mały samochodzik
medykament
mączka z palmy
lepszy ... niż nic
miasto nad Tyśmienicą
niejedno w Las Vegas
budynek z klepiskiem
wzorzec jednostki miary
Niemczyk lub Kuraś
sprzęt dla Pawła Fajdka
lek dla słabeusza
basen dla maluchów
model Kia
w ręku rzeźbiarza
kultowe figurki
trudny wybór
stan atmosfery
odmiana jabłoni
spływa z gór
ukwiecony trawnik
ofiara na tacę
„Borys ...”, opera
metropolia Senegalu
wsad do martena
gady z wyspy Komodo
konsul lub ambasador
utwór Chateaubrianda
... Bem
najcięższy metal
korab
jednostka masy
rozpyla płyny lecznicze
styl w sztuce
kaftan kobiecy, szubka
deszyfrator
Ignacy, polski aktor
w parze z Sodomą
długi, nudny spis
porywisty wiatr
w parze z pasywami
właściciel statku
w gwiazdozbiorze Skorpiona
pierwsza dama Olimpu
ruchoma zasłona
pasja, hobby
wyspa z Valettą
hak w podkowie
odniesione na polu walki
wojenna lub handlowa
wodnista kawa
dawny czołg
tropy daniela na śniegu
boczna część świątyni
szczelina w murze lub ścianie
choroblive przywidzenie
dolna część fraka
areszt, koza
Czesław, były kolarz
zlot czarownic na Łysej Górze
topiony lub żółty
barwa, odcień
lek na ból
muza astronomii
Bohdan, pisarz i lotnik
Pięcioksiąg Mójżesza
żona hinduskiego księcia
gwiazda baletu
rzepakowy do smażenia
tłumoczek wędrowca
czarny rumak
rzeka w Azji jak ryba
krzyk, awantura
odmiana w hodowli

AUTOPROMOCJA 0310987243

Twoja gazeta w prenumeracie z Tele Magazynem

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

SŁOWNIK: AIN, ANTARES, ASZYK, KASABAJA, SOMMA.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 30 utworzą rozwiązanie: myśl markiza de Vauvenarguesa.

ROZWIĄZANIE: KONIECZNOŚĆ UWALNIA OD MĘKI WYBORU.

eprasa.pl 91b9e96d45